H. H. Ewers

MAMALOI

przełożył i wstępem poprzedził
Stanisław Przybyszewski

LEKTOR

MAMALOI

SKŁADY GŁÓWNE:

W WARSZAWIE:
„LEKTOR“, SIENKIEWICZA 5
TEL. 253—99.

WE LWOWIE:
„LEKTOR“, MIKOŁAJA 23.
(DOM WŁASNY). TEL. 525.

W POZNANIU:
„LEKTOR“ RATAJCZAKA 23.

W KRAKOWIE:
„LEKTOR“, RYNEK GŁ. 22.

W LUBLINIE:
„LEKTOR“, SZOPENA 5.

№ 5029

„DRUKARNIA UDZIAŁOWA“ WE LWOWIE, UL. KOPERNIKA 20.

35

Hanns Heinz

H. H. EWERS

MAMALOI

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD I WSTĘP
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

WYDAŁ: „LEKTOR" INSTYTUT LITERACKI SP. Z O. O.
LWÓW—WARSZAWA—POZNAŃ—KRAKÓW—LUBLIN :: 1922

SPIS TREŚCI:

WSTĘPNE SŁOWO

NAPISAŁ

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

Kiedym pisał przedmowę do powieści „Alraune“, tego autora, którego wybór nowel obecnym wstępem poprzedzam, nie przeczuwałem, aby poważna książka poważnego autora taką niebywałą burzę oburzonych krzyków, takie rozgłośne wołanie o pomstę Bożą rozpętać mogła.

Dawno już się dziwiłem wielkiej liczbie nakładów książek Ewersa. — Książki te przed dwudziestu laty nie byłyby wcale kupowane: ich poziom artystyczny za wysoki dla przeciętnego czytelnika, — treść istotna, wymagająca natężonego myślenia, za głęboka, — fabuła najprostsza w świecie bez żadnych zawikłań, którebу tak dalece uwagę czytelnika na uwięzi bez wytchnienia trzymać mogły, rozprowadzanie psychologiczne charakterów bardzo nikłe: wszystko, co się dawniej nazywało powieścią, jest w książkach Ewersa jedynie tylko celem, by ukazać ukryte w głębi duszy moce i przejawy tychże aż do ich źródła ścigać. Wszystko, co było w pochłanianych dotąd powieściach jedynym celem, u Ewersa staje się rzeczą podrzędną, akcydensem — jemu tylko chodzi o jak najszersze rozwijanie swych myśli na tle tych wydarzeń, które najlepiej i najwyraźniej je niejako ilustrują. Szuka ukrytych związków w duszy ludzkiej, analizuje wszelkie przejawy zewnętrzne jako jej psychiczne projekcje, z głęboką powagą stara się znaleźć dla nich wyjaśnienia, myśli nad niemi, zastanawia się nad ich istotą, jednem słowem: to, co dotychczas było istotnem dla powieści, to znaczy forma i treść, staje się dla Ewersa rzeczą podrzędną; głównym jego bohaterem i prawie jedynym: to metafizyczna myśl, przekraczająca niekiedy sferę poznawalności, gubiąca się w otchłaniach mistyki, szybująca w tych ciemnościach, w których groza, przerażenie, najstraszliwszy ból istnienia wszechwładnie panuje, nierozwiązalne, piekielnym stra-

chem duszę ludzką przeszywające zagadki w ciężkich snach się wiją, rozpasana „chuć“ szatana parzy się z bolesną tęsknotą „duszy wygnanej z raju“; zbrodnia, krwiożerczy bestjalizm, najpotworniejsze okrucieństwo pławi się w mistycznych zmrokach najgorętszych wzniesień do Boga. Z tego punktu widzenia, a jest tylko ten jeden, czytałem twory Ewersa i wreszcie zrozumiałem przyczynę, dlaczego one tak poczytne, podczas gdy, jak wspomniałem, przed dwudziestu laty byłyby niechybnie najmniejszej uwagi nie zwróciły.

Otóż publiczności przejadła się powieść w zwykłem znaczeniu — dusza zbiorowa przynajmniej w Niemczech zwolna dojrzewać poczyna, staje się coraz więcej przystępną do najgłębszych zagadnień, nurtujących dotychczas duszę pojedynczych jednostek, coraz więcej ją niepokoją odwieczne zagadki, ukryte w objawieniach czy to religijnych, czy społecznych i z coraz większą ciekawością zagląda przez rąbek w ten tajemniczy świat, kryjący się poza złudą zmysłów i jest wdzięczną temu twórcy, któremu dano ten rąbek odsłonić.

Tem jedynie tłumaczy się ogromne powodzenie, jakie w ostatnich latach uzyskał „Golem“ Meyrinka, lub jego „Das grüne Gesicht“ — i tem, jedynie tem można sobie objaśnić powodzenie powieści Ewersa „Alraune“ i „Uczeń Czarnoksięski“ (Teufelsjäger— przynajmniej w Niemczech.

Rozwój duszy zbiorowej w kierunku ku najgłębszym, duszę ludzką najwięcej męczącym zagadnieniom, jakich pełno w każdem wydarzeniu, w każdym jej przejawie, stał się tu w ostatnim dziesiątku lat tak widocznym, że wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby utwór, w którymby najzawilsze zagadki teorji poznawczej, ubrane choćby od biedy w formę powieściową były roztrząsane, olbrzymim pokupem się cieszył.

Powieść jako taka kona już w ostatnich podrygach.

To, co dawniej było istotą powieści, dziś zostało zepchnięte na ostatni plan, dziś pragnie publiczność ujrzeć człowieka w całej jego pełni, o którym tak długo i szeroko rozpisałem się w mojej przedmowie do „Alrauny“ — proszę ją tylko uważnie przeczytać — chcą widzieć istotnego człowieka, a nie tę nadmałpę, jaką powieściopisarz jej dotychczas pokazywał — nadmałpę z jej śmiesznemi, głupiemi wydarzeniami, z jej rozpaczliwie marną „joie de vivre“ i jeszcze marniejszemi tragedjami.

Stąd całe ogromne nieporozumienie.

I czytelnik, a przedewszystkiem tak zwany krytyk, szuka w powieści, — tej właśnie powieści, którą się dotychczas aż do obrzydzenia karmił. Nic go nie obchodzą rozpaczne niemal wysiłki artysty, by swoje najgłębsze koncepcje myślowe w formie dla zbiorowej duszy najwięcej przystępnej powieści uzmysłowić, nic go nie obchodzi cały duchowy podkład, z jakiego twór jego wyrósł — on szuka tylko w y d a r z e ń, szuka konfliktów, zewnętrznych wypadków, ich wikłania i rozwiązania — on pragnie od powieści jedynie tylko potwierdzenia swojego własnego bezmyślnego życia zewnętrznego — odbicia tej r z e c z y w i s t o ś c i, jaką żyje, a z nudą‘ odrzuca każdy utwór, który mu wykazuje, że ta rzeczywistość jest doszczętnie fałszywą, majakiem, urojeniem, że poza nią kryje się całkiem inna r z e c z y w i s t o ś ć, dostępna, a raczej przeczuwalna dla wytężonej do ostatnich granic, we wielkim wysiłku skupionej myśli ludzkiej.

Więc czyta się powieść, lub nowelę Ewersa całkiem tak samo, jak się czyta Kraszewskiego lub Sienkiewicza — i to jest to fatalne nieporozumienie.

Opuszcza się rzeczy, które stanowią istotną kanwę powieści, to znaczy cały świat myśli i zagadnień, które twórca pragnie w danej formie uwięzić, a szuka się tylko treści. I w tę ubożuchną t r e ś ć wkłada każdy czytelnik lub krytyk według swego założenia psychicznego to właśnie i to jedynie, co go najwięcej zajmuje i myśl jego pochłania.

Czytelnik lub krytyk, zamieszkujący niezmierne obszary p o r n o k r a c j i, a co jest równoznaczne z m o r a l n ą o b ł u d ą, bo pornokracja jest wstydliwa, a maską jej jest na zewnątrz ten piekielny „c a n t“ (wytwór angielskiego społeczeństwa, jak wiadomo najrozpustniejszego w Europie), będzie w takiej książce szukał przedewszystkiem pornografji, doszuka jej się niechybnie w pierwszym lepszym opisie miłosnego złączenia, choćby on w twórczej duszy wynikał z najczystszego źródła, najczystsze naczynie zapełni po brzegi niechlujną treścią własnej fantazji, a gdy tego dokona, rzuca się z całą wściekłością na cały utwór.

Widzę niedomagania artystyczne w tworze Ewersa, wynikające stąd, że m y ś l u niego w znacznej mierze góruje ponad wszelką treścią i nie zawsze udaje mu się ją plastyczną formą okiełzać — a wielkie pytanie wogóle, czy forma powieściowa nadaje się wogóle do metafi-

zycznych, lub ponad nie wybiegających mistycznych zagadnień — widzę wydarzenia przejaskrawione, „cent fois grandeur naturelle“ w usiłowaniu, by myśl swoją czytelnikowi uczynić jak najwięcej zrozumiałą, widzę czasem, jak w zaciekłem pragnieniu, by swojemu czytelnikowi łopatą swoją myśl wyłożyć, stacza się z linji czysto artystycznej, ale nie znalazłem w całym jego tworze jednego pornograficznego opisu, nie dojrzałem nigdzie ani śladu onego chytrego porozumiewawczego, cynicznego uśmieszku z poddanym pornokracji.

PORNOGRAFJI szukajcie gdzieindziej!

Szukajcie jej w państwie przewielmożnej madame Delmonse ze słynnej powieści markiza de Sade; która tłumaczy teorję „cantu“:

„Nikt nie żąda od nas cnoty, tylko maski cnoty. Jestem nierządnicą, jak Messalina, a wszyscy wierzą, lub zdają się wierzyć żem czysta, jak Lukrecja. Jestem gorszą ateistką od Vaniniego, a wierzą, z uśmiechem wierzą, że jestem pobożna, jak święta Teresa. Jestem fałszywa, jak Tyberjusz, a z zezowatem porozumiewawczem spojrzeniem na otoczenie twierdzą, że jestem szczera, jak Sokrates. I pewną rzeczą jest, żem trzeźwa i wstrzemięźliwa, pomimo, że Apicjusz nie dorównałby mi w rozpuście. Oddałam się występkowi, oszustwu, ohydzie, ale spytaj się mych bliźnich a wszyscy *uni sono* powiedzą:

„Madame Delmonse jest aniołem!“

Tylko podwładni wszechmocnej Madame Delmonse wietrzą w każdem dziele sztuki pornografję.

Krytycy, ajenci śledzący „cantu“ i pani Delmonse, wypatrujący wszędzie pornografję, winni się wstydzić swej haniebnej misji.

Pornografją staje się jedynie tylko wtedy utwór artysty, gdy się przyodzieje w domimo moralnego oburzenia, — nagość może być świętą, przyodziana w przejrzyste tiule, przeźroczyste jedwabie, staje się lubieżną lub sprośną.

I cudownie tę myśl uzmysłowił wielki malarz i głęboki myśliciel Goya w swych dwóch obrazach „Maja desnuda“ i Maja vestida“.

Tyle najogólniejszych słów w kierunku tej prasy, która taki wściekły protest „oburzenia moralnego“ podniosła

przeciw „Alraunie“ Ewersa. Teraz parę tylko uwag, tyczących obecnego zbioru jego nowel.

Tytuł jaki obecnemu zbiorowi moich tłumaczeń nowel Ewersa nadałem: „Mamaloi“, wzięty jest z jednej z najciekawszych, chociaż nie najgłębszych nowel tego autora pod tym samym tytułem — a równocześnie jest charakterystycznym przykładem m e t o d y jego pracy.

Studja nad średniowieczną djabologją, w moim wstępie do „Alrauny“ obszerniej omówioną, wyłoniły „Alraunę“ — współczesną czarownicę i w zakres tych samych badań wkracza „Mamaloi“.

Któż nie słyszał o sabatach czarownic średniowiecznych? Foljanty djabologów przepełnione są najpotworniejszemi opisami tego straszliwego kultu szatana.

Otóż przekrój przez tysiące opisów, mniej lub więcej fantastycznych kultu szatana w średniowieczu, który i s t n i a ł — nie był wytworem obłędu kościoła, ani też jego inkwizycji — istniał rzeczywiście — bezwątpienia nie w tej formie, jaka się powoli już w fantazji inkwizytorów ukształtowała, a której potwierdzenie tortura wymusiła, ale, że t e n k u l t i s t n i a ł, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Wtajemniczona w sektę szatańską otrzymuje na znak prymicji słoik z maścią i b i a ł ą l a s e c z k ę, którą ma ukryć w miejscu, gdzie jej nikt znaleźć nie może, prócz członków tej samej sekty. W oznaczonym czasie ukazuje się wiedźma — „Mamaloi“, najwyższa kapłanka szatana, pokazuje tę laseczkę, którą znowu do tego samego ukrycia składa — upragniona chwila nadeszła.

Około północy rozbiera się młoda kobieta, która duszą i ciałem szatanowi się oddała, naciera silnie swe ciało otrzymaną maścią, a przedewszystkiem pod pachami, okolicę serca i miejsca wstydliwe.

Natychmiast wpada w kamienny sen, który atoli krótko trwa: ciało pozostaje bez ruchu w katalepsji, dusza budzi się, wyzwala się z ciała, dopada miotły, koła, jakiegośkolwiekbądź przedmiotu, czasami czeka już na nią jej szatański kochanek w postaci kozła — i dalej w drogę!

Nie zawsze jednak używa czarownica jakiegoś wehikułu. Po części idzie p i e s z o. Potwierdzają to Remigjusz i de Lancre, którzy razem spalili około trzy tysiące czarownic, a więc ludzie kompetentni.

Miejsce przeznaczenia adeptka już po trochu zna.

Jest to osławione miejsce na jakiemś wzgórzu, pełne strachu i grozy, niedostępna puszcza bez dróg i ścieżek, a jak daleko oko sięga, niema mieszkania ludzkiego.

Widzi już wielkie zebrania mężczyzn, tych daleko mniej, jak kobiet — jak zwykle w każdym kościele — mnóstwo kobiet i dzieci. Zdaje jej się, że zna dużo z współuczestników, ale nie może ich d o k ł a d n i e rozeznać, bo jest zwykle bardzo ciemno, a światło pochodni przemienia postacie w widma.

Widzi kobiety wpół nagie, w poszarpanych na strzępy sukniach, z rozwianym włosem, widzi, jak krążą i wyskakują w dzikich podrzutach, jakby wszelki gatunkowy ciężar utraciły, tylko od czasu do czasu rozlega się straszny ryk i wrzask: Har! Har! Sabbat! Sabbat! A naraz, jak na dany znak, porządkują się pary w wielkiem kole, mężczyzna i kobieta zwróceni plecami do siebie i rozpoczyna się szalona ta o r g j a t a ń c a. Słychać rżenie namiętności, dzikie, rozpustne pieśni, przerywane ochrypłym krzykiem: Har! Har! Djable! Djable! Skacz tu! Skacz tam!

Orgja dochodzi w potwornych skokach i rzutach do najwściekłejszego rozbestwienia, zwierzę rozpętało się w człowieku, chuć kojarzy się z pragnieniem krwi, z delirji bólu wyłania się obłęd potwornej rozkoszy w Sodomji i Kazirodztwie.

W kobiecie budzi się straszliwa kapłanka Kybeli, czy też bogini Kali, budzi się w niej z niezmożoną potęgą odwieczna nimfomaniczna furja, dla której najplugawsza ohyda rozkoszą się staje. I nagle zamienia się chuć na krwiożerczość. — Niesyta, demonami najwściekłejszej żądzy opętana kobieta rozszarpuje paznokciami swe ciało, wyrywa sobie garście włosów z głowy, rozdrapuje sobie piersi — ale to jeszcze mało, by apokaliptyczną bestję, w sobie zaspokoić: rzuca się na dziecko, tę odwieczną ofiarę składaną na ołtarzu szatana właśnie dlatego, że Chrystus ją ukochał, rozrywa mu zębami piersi, wyszarpuje serce przegryza mu tętnice na szyi i ssie chciwie i chłepcze bluzgającą krew.

Tą orgją, którą się kończył starożytny sabbat Babilonu, Rzymu i Grecji, rozpoczyna się dopiero właściwy, świętokradzki sabbat czasów chrześcijańskich.

Tu już atoli wkraczamy w formalistyczno-dogmatyczną część kultu szatana — za dalekoby to nas zaprowadziło — przytaczając ten syntetyczny obraz sabbatu jaki

otrzymałem z setek dzieł djabologów, chciałem tylko wykazać jego niemal identyczność z sabbatem w kulcie Vandoux, który nam Ewers z taką artystyczną mocą daje w swej noweli „Mamaloi".

Zdawałoby się, że to znowu „pornograficzna" fantazja, która tę wizję najwścieklejszego organu zmysłów twórcy wywołała.

Ależ nie!

Kult Vandoux istniał i istnieje dotąd — sekta, zaciekle prześladowana w Europie aż po koniec wieku ośmnastego — ośm miljonów czarownic zdążono do tego czasu spalić — znalazła bezpieczne schronisko w — Haiti.

Średniowieczny sabbat niema nic jemu tylko właściwego, znajdujemy go po wsze czasy i u wszystkich narodów - jest on ogólno historycznym faktem. Epoka pozytywizmu i zdrowego rozsądku ułatwiła sobie zadanie rozwiązania tej najciekawszej zagadki, jaką historja zna; powiedziano, że to wszystko majaczenie, przesąd. zabobon, procesy przeciwko czarownicom służyły za powód, by Kościół potępić, historyk ślizgał się po faktach, nie dających się zaprzeczyć — a nagle ukazuje, się że ten kult szatana w całej pełni rozkwitu istnieje i potwierdza wszystkie twierdzenia najfantastyczniejszych djabologów.

Dlatego dałem jako wstęp do „Mamaloi" jeden rozdział z książki Ewersa „Mit meinen Augen" — rodzaj pamiętnika jego rozległych podróży: dłuższy jego pobyt na Haiti dał mu możność bliższego zbadania organizacji satanicznej sekty Vandoux".

Własne moje badania stwierdziły wiarogodność opisu Ewersa, a równocześnie odsłoniły mi m e t o d ę pracy tego niezwykle ciekawego pisarza.

I jedynie dlatego rozpisałem się szerzej w tej noweli, której tytułem zbiór nowel nazwałem.

Otóż: podkładem dla wszystkiego, co Ewers pisze, jest rozległa wiedza, głębokie wniknięcie w istotę tych tajemnic, których rąbki odsłania, usilne przemyślenie najzawilszych zagadek bytu ludzkiego, skrzętne przeszukiwanie najwięcej ukrytych zakamarków duszy ludzkiej, a projekcją na zewnątrz tej całej jego mozolnej i natężonej pracy duchowej, to jego artystyczny twór.

Przemyśleniem zawrotnych teorji o uzmysłowianiu się myśli ludzkiej jest jego „Pająk" — głębokim studjom nad otchłannem zagadnieniem, czem jest moje „Ja", za-

wdzięczamy nowelę: „Śmierć barona Jezus Marja von Friedel".

Na podstawie analizy Mamaloi, którą dałem, może czytelnik snuć z każdej z tych nowel nieskończony szereg własnych myśli, szukać w nich rozwiązań najwięcej męczących go zagadnień.

A jeżeli ten mój pobieżny wstęp spełni swe zadanie, że będzie tylko prostą wskazówką, jak przynależy czytać twór Ewersa, wtedy może doczekam się innych krytycznych informacji dla publiczności, aniżeli tych, które mnie tak głęboko swojem przeraźliwem nieuctwem i bezmyślnością zasmuciły — przecież to ja twierdziłem, że Polacy są bądź co bądź najkulturalniejszym narodem w Europie!

VANDOUX.

Mój kieszonkowy atlas poucza mnie: „Państwową religją Haiti jest rzymsko-katolickie wyznanie, wszelakoż i wszelkie inne wyznania są tolerowane". Pomiędzy temi innemi wyznaniami są wymienieni: Baptyści, Metodyści, Wesleganie, Anglikanie i t. d. O kulcie „Vandoux" atlas mój nic nie wie, jak również nie wiedzą o nim podręczniki geograficzne, których cały szereg przestudjowałem. A przecież kult Vandoux jest, jeżeli już nie państwową religją, to w każdym razie religją narodu, który Haiti zamieszkuje. I w rzeczy samej nie odgrywają żadne inne religje tu najmniejszej roli; prawdziwy wpływ ma na tak zwane „lepsze" warstwy społeczeństwa wolnomularstwo, a na prosty lud kult Vandoux. Loże masońskie w Haiti nie mają jednakoż z istotnem wolnomularstwem prawie nic wspólnego, są tylko glupiem, błazeńskiem małpowaniem i nie są, jak się samo przez się rozumie, przez rzeczywiste loże uznawane.

Prosty lud zato popadł już dawno, mimo całego chrześcijanizmu, mimo wytężonej pracy katolickich i ewangelickich misjonarzy w stary swój, afrykański fetyszyzm. Czy na rodzaj haitańskiego kultu, który w adoracji węża się streszcza, można i gdzieś tam we wnętrzu Afryki napotkać, o tem nie wiem; pozatem są wiadomości, które o powstaniu tej właśnie religji mamy, nader skąpe i mało przekonywujące. W tem jednem tylko zgadzają się

wszyscy podróżnicy, którzy o Haiti pisali, a więc taki Moreau St. Mery, Ipenier St. John, Samuel Harard, Tippenhauer, Texier i inni, że kult Vandoux w całym kraju jest ogólny i rok w rok pochłania mnóstwo ofiar ludzkich. Czy można ich naliczyć co najmniej tysiąc pięćset rocznie, jak francuski podróżnik Texier twierdzi, czy też uzna się twierdzenie mulata Tippenhauera, haitańskiego pisarza, który wszystkiemi siłami chce honor swej ojczyzny ratować, za wiarygodne, że ofiary z ludzi nie są wcale ogólne, to już obojętne.

Sto, czy tysiąc ofiar ludzkich — to już wszystko jedno — w każdym razie jedno jest tylko pewnikiem, że w „chrześcijańskiem, kulturalnem państwie“ jako takiem przez mocarstwa uznanem, rok w rok zarzyna się i pożera mnóstwo dzieci.

Dla obcego jest niezmiernie trudno wtargnąć poza kulisy kultu Vandoux, który murzyn haitański głęboką i gęstą tajemnicą zasnuwa. Haitańczyk z „wyższych“ sfer stara się cudzoziemca w błąd wprowadzić i zaprzecza zgóry wszystkiemu, dopiero, gdy zmiarkuje, że się już coś niecoś o tem wie, wtedy przyznaje możliwość tego kultu, ale stara się go w jak najniewinniejszem świetle przedstawić. Co zatem podróżnicy o tym kulcie opowiadają, mają to tylko do zawdzięczenia albo niezwykłemu przypadkowi, lub też publicznym procesom, a głównie procesowi z roku 1864 w Port-au-Prince, podczas prezydentury Geffrarda, jednego z tych rzadkich prezydentów Haiti, którzy nie byli zwolennikami, ale wrogami tego ludożerczego fetyszyzmu. Wtedy dowiedziono ośmiu osobom, mężczyznom i kobietom, zbrodnię ofiary ludzkiej i kanibalizmu, popełnioną na dwunastoletniej dziewczynce — wszystkich rozstrzelano

Moje osobiste doświadczenia zawdzięczam jednemu włoskiemu kupcowi, który od lat w Haiti zasiedziały, utrzymywał miłosny stosunek z jedną arcykapłanką, który, mówiąc nawiasem — i w tem tkwi bajeczny humor w tej całej sprawie — w ten sposób jako prawdziwy Neapolitańczyk wyzyskał, że za pośrednictwem swej czarnej kochanki, wiernym, za drogie pieniądze, rozmaite cudotwórcze likwory sprzedawał, które własnoręcznie z wody i soku tomatów przyrządzał. Gdzie własne moje doświadczenie zawodzić mnie poczęło, posługiwałem się w opisie tego kultu opowiadaniami tubylców i obcych, od długich lat tu przebywających, jako też odnośną literaturą, ale tylko o tyle, o ile się wszystkie podania całkowicie z sobą zgadzały — rozbieżnych momentów i odchyłań nie podaję. I tak wydaje mi się, że mój ogólny obraz może sobie rościć prawo do najwięcej zbliżonej do prawdy rzeczywistości.

Zwolennicy Vandoux czczą cały szereg bóstw, z których za najwyższe uznany jest wąż, hougon badagri. Za przedmiot czci służy: zwykła żmija, która atoli nie ma wielkiej pociechy ze swej boskiej godności. Wkładają ją do skrzyni i tam zwykle tak długo żyje, dopóki z głodu nie zdechnie. Obok węża cieszy się Damatala, piorunowy kamień, najwyższem ubóstwieniem: leży na talerzu i objawia przez stukotanie swoje życzenia. Zna on przyszłość. Arcykapłanie tłumaczą jego mowę stuku wszystkim wiernym. Ten bóg jest oczywiście daleko rzadszym, aniżeli wąż, którego można codzień pochwycić. Udało mi się otrzymać takiego Dandalaboga; jest to bardzo pięknie oszlifowany kamień, ale z całą pewnością wcale nie piorunowy, ani też meteoryczny, jak murzyni święcie w to wierzą, ale

toporek kamienny z epoki karaibów. Haitańczycy znajdują raz po raz w lasach takie kamienie, nie umieją sobie wytłumaczyć ich pochodzenia i uznają je za „zesłańców z nieba“, jako kamienie piorunowe, którym boską cześć oddawać należy. Reszta bóstw wcale nie jest wszystkim wspólna — są to bóstwa lokalne, którym to w tej części kraju, to znowu w innej cześć boską składają. Mamy naprzykład Loco, drzewo porzeczkowe, które stoi przy wejściu świątyni, a któremu się w ten sposób cześć oddaje, że się o nie rozbija na miazgę szklanki, talerze i flaszki; mamy bliźnie bóstwo Sango i Bado, które wyobrażają błyskawicę i wiatr, Attaschollô, wielkiego ducha wszechświata i Agaon Kata Balayi, wszechwładcę chaosu. Jest jeszcze tam Opétè, boski indor, Cimbi Kita, możnowładca piekła, którego przedstawia siekiera, umaczana w krwi wraz z podwładnymi mu djabłami i Alagra Vadra, bóg, który wszystko wie.

Świątynia nazywa się o Honfoû — zawsze położona jest za miastem, często głęboko w lesie na małej polanie, która dobrze udeptana i wygładzona służy za plac taneczny. Jej zewnątrz ani jej wnętrze nie wykazuje najmniejszego stylu: jest to zwykła chata, sklecona z tego materjału, który się właśnie pod ręką znajduje. W świątyni, troszkę na podwyższeniu, znajduje się kosz ze świętym wężem, a ściany oblepione obrazami katolickich świętych, ilustracjami z niemieckich, francuskich i angielskich czasopism, porozwieszane na nich kilka łańcuchów z muszli, stare szmaty poniszczonych chorągwi i pstrokacizna papierowych wycinanek.

Na czele takiej gminy Vandoux stoi arcykapłan, który nosi imię Papoloi i arcykapłanka czczona pod nazwą Mamaloi; w zepsutem narzeczu Kre-

olow, zamiast Papa-Roi i Mama-Roi: Ojciec i król i Matka królowa: zaiste dostojne nazwy!

Podrzędniejsi kapłani rozróżniają się pod względem nazw i swych funkcyj w rozmaitych okolicach. Znamy tylko ogólne nazwy hougan, znachorzy-lekarze, którzy z miejsca na miejsce wędrują i sprzedają „wanges“, to znaczy amulety, (torebki z małemi muszlami i kamyczkami: „points“), które ciało od ran chronią i „chances“, za pomocą których kobiety sobie kochanków zdobywają. Inni kapłani zowią się Dijons lub też Aninbindingnes, lub też Dugaons, służą oni specjalnie najwyższemu djabłu Cimbi-Kita i jego parobkom Arilit i Dom Pedre. Najgłówniejsza sztuczka tych czcigodnych kapłanów polega na tem, że na życzenie i za dobrą zapłatą zabijają wrogów wiernych przez „wykradanie“ im dusz, to znaczy, że zawieszają woskowe tabliczki, wyobrażające wrogów w świątyni i zaczarowują je. Sprawa cała nie jest tak niewinną, jak się wydaje, bo wierni już z całkiem spokojnem sumieniem unicestwiają ziemską powłokę, w której już przecież „dusza“ nie mieszka, za pomocą jakiejś cichutkiej trucizny. Lavalon, to kościelny, przynależni zaś do gminy Vandoux zowią się noncibossales; langous, są ci, którzy już otrzymali święcenia. A uzyskać te święcenia nie jest wcale drobnostką: czterdzieści dni musi ten, który chce być wyświęcony, przetrwać w obrzydliwej łaźni w kałuży, aż ta cała wyparuje, a całem jego pożywieniem podczas tego czasu, to verver, ohydna mieszanina z kukurudzy i krwi.

Między Vandoux samymi istnieją jeszcze rozmaite sekty o surowszej, lub też łagodniejszej regule; najdzikszą zdaje się być jednakowoż szatańska sekta Dom Pedre'a. Z przedmiotów rytualnych

mają znaczenie jedynie bębny, wydrążone pienki drzew, obciągnięte skórą baranią; zowią się houn, hountor i hountorgri i są poświęcone — apostołom: świętemu Piotrowi, św. Pawłowi i św. Janowi. I na ten galimatjas z kultem katolickim natrafia się na każdym kroku: najwyższe bóstwo — wąż — jest uważane jako uosobienie św. Jana Chrzciciela!

W świątyniach Vandoux są nietylko porozwieszane obrazy katolickich świętych — obok oleodruków z wizerunkami cesarza niemieckiego, cara, Wiktora Emanuela i królowej Wiktorji,— ale papalois nawołują wiernych, by gorliwie do kościołów uczęszczali; nie znają, co jest zawiść zawodowa. Rano msza katolicka, w nocy adoracja węża, zarzynanie dzieci i pożeranie mięsa ludzkiego: to już na wskróś haitańskie!

Oprócz wymienionych już trzech bębnów istnieje jeszcze wielki bęben, zwany Assauntor, który jest powleczony skórą jednego ze zmarłych papalois. Neclesin zowie się żelazny trianguł, który nawołuje wiernych do świątyni.

Oczywiście, że kult Vandoux ściśle przestrzega „tabu“: tak więc zakazane jest mięso żółwie, kozy i niedozwolonem jest spożywanie tomatów i auberginów. Natomiast jest mięso kozła i maisakassan (chleb z kukurydzy) uważane za potrawy „błogosławione“. Zresztą zdarza się, że dla jednej rodziny te właśnie potrawy są „tabu“, które innej spożywać wolno i na odwrót. Bliźniacy, marassas, cieszą się wszędzie czcią i szacunkiem, wszystko jedno, czy rodzi je kobieta, czy też zwierzęca jakaś samica. Narodziny bliźniąt obchodzi się ucztami, połączonemi z dziwacznym ceremonjałem.

Ostre dźwięki triangułu rozlegają się po ulicach; tylko wtajemniczeni rozróżniają i rozumieją znaczenie pourywanych tonów. Przy zachodzie słońca wybiegają do lasu i pędzą drogą, która jest po obu stronach palami wyznaczona. Na tych ostrych palach powbijano czarne i białe kury, a pomiędzy niemi leżą skorupy jaj i dziwacznie ukształtowane kamienie i korzenie. Wierni zbierają się w świątyni i naokoło niej i przygotowują się do świętych obrządków piciem bezmiernej ilości „tafii“.

Wreszcie zawarczały wielkie bębny, na których muzykanci się usadowili; uroczystość się rozpoczyna —wszystko tłoczy się do świątyni. Naprzód ma zostać przyjęty do tajniejszego koła nowy adept, który odbył już czterdziestodniową kąpiel w smrodliwej, ohydnej kałuży. Musi teraz przebiec nago przez ogień, potem z wozu dymiącego się kotła wyciągać gołemi rękoma kawały mięsa i podawać je na liściach wszystkim uczestnikom ku posileniu. Teraz występuje Papaloi. Podczas gdy wierni mają tylko na nogach sandały, a za cały przyodziewek starczy im kilka pozwiązywanych czerwonych szmat ma arcykapłan przewiązaną głowę niebieską chustą, z poza której zwieszają się, jakby długie żmije, dzikie pasma skołtunionych włosów. Przystępuje on do kosza z wężem i przysięga mu posłuszeństwo; wszyscy uczestnicy powtarzają tę przysięgę. Ukazuje się Hondja-Nihou, królowa-kapłanka, a całem jej odzieniem to niebieska chustka, którą jej czoło przepasane — staje obok Kona i zabawia się w Pytję. Każdy z wiernych błaga boskiego węża o wypełnienie jego życzeń: daje się za to monetę, którą Papaloi skwapliwie do swego kapelusza zgarnia. Kapłanka wróży; pogmatwane słowa, porozrywane zdania wybiegają z jej ust Teraz przywlókł

Papaloi czarnego kozła, wbija mu nóż w gardło, odcina głowę i pokazuje ją tym, którzy walą w bębny. Wytryskującą krew pochwytują w naczynia i wszyscy ją piją, zmieszaną z rumem. W okamgnieniu zdarto ze zwierzęcia skórę, wypatroszono je z jelit, pocięto na kawały i wsadzono na rożen; by je upiec. Występuje tancerz; stoi przez kilka minut całkiem bez ruchu w środku, ale wszystkie jego muskuły drżą. I powoli, podczas gdy uczestnicy pochłaniają na wpół surowe mięso kozła, poczyna się, na wszystkie strony słaniać. Gmina patrzy na siebie, opanowuje ją głębokie wstrząśnienie; a nagle intonuje kapłanka straszliwą pieśń:

„Leh! Eh! Bomba, hen hen!
Cango bafio tè,
Cango moune dè lè,
Cango do ki la;
Cango li!"

I wszystkie te czarne postacie, mężczyźni i kobiety, zrywają się nagle z ziemi, poczynają się kręcić w tańcu, popychają, tłoczą się, depczą się wzajem, robią w powietrzu olbrzymie kozły, padają na klęczki na ziemię, biją o nią głowami i ryczą odurzającą pieśń ich królowej, której wtórują w dzikich rytmach warczące bębny.

Nagle wznosi arcykapłan długi nóż w górę i wszystko wraz milknie. Nadeszła wielka chwila: spełni się ofiara „cabrit sans cornes", ofiara „kozła bez rogów". Przywleczono ofiarę, skutkiem jakiejś trucizny już na wpół przytomną, czasami dorosłego człowieka, ale przeważnie dziecko, dziesięciu do dwunastu lat. Wprowadza się je w czarne koło, i kładzie mu się ku uświęceniu na głowę zawiniątko z włosami i kawałeczkami rogów. Ka-

płanka dusi dziecko, a kapłan odcina mu nożem głowę. Rozczłonkowuje się potem trupa, aby go upiec, jak przedtem kozła. Pragnienie krwi staje się nienasycone. Rozpoczyna się Dom Pédre, taniec szatański; jakby horda obłąkańców wyskakuje czerń murzyńska w opętanym tańcu. Zrywa sobie z ciała czerwone szmaty, cielska zdają się wyłamywać z uwięzi stawów, a pot zlewa się z nich strumieniami. Gryzą się wzajem, albo wcinają zęby we własne ciała, rzucają się na siebie, gdyby dzikie zwierzęta w oszalałych podrzutach, zwalają się na ziemię, tarzają się po niej i znowu zrywają się w górę, podczas gdy ich Papaloi krwią obryzguje, a królowa wysoko ponad głowy świętego węża podnosi. Teraz już nie śpiewają: z ich konwulsyjnych delirjów słychać tylko obłąkane charczenie, fanatyczne ryki! „Aa-aa-boo-boo!"

I zwolna przechodzi potępieńczy taniec w rozjuszoną orgję rozpętanej chuci, która nie zna rodzaju, nie jest już wstanie rozróżnić ludzi od zwierząt, a nawet od martwych przedmiotów.

Po godzinach całych: wyczerpanie; a potem nowa orgja obżarstwa, wściekłego opilstwa i niewiarygodnego rozpasania zmysłów i znowu na nowo, szatański taniec!

A ten obłąkany kult jest nie tylko rozpowszechniony w najniższych warstwach ludności — całkiem przeciwnie: najgorętszymi jego zwolennikami byli najwyżsi urzędnicy państwowi: Toussaint Louverture, „oswobodziciel" Haiti, i jego następca „cesarz" Dessalines i „król" Krzysztof byli sami „Papalois". Cesarz Soulougne (1848—1859) i prezydent Salomon (1882—1888) byli żarliwymi protektorami Vandoux. Prezydent Salnave spełniał własnoręcznie (1868) ofiarę „kozła bez rogów", to

znaczy ofiarę z człowieka, a po śmierci przedostatniego prezydenta Hipolita (1869) znaleziono w niszach jego sypialni szkielety dwóch ludzi, których podczas kultu Vandoux wężowi ofiarował. Tylko dwóch prezydentów, Geffrard (1860—1867) i Boisrond Canal (1876—1879) odważyło się stanowczo wystąpić przeciw kultowi Vandoux, i za ich to prezydentury odbyły się wyżej już wspomniane procesy; pierwszy 1864 r., drugi 1878 r. w Port-au-Prince; w pierwszym wypadku dowiedziono jednemu Papaloi zbrodni ofiary ludzkiej i kanibalizmu, w drugim tej samej zbrodni dwom murzynkom: wszyscy zostali rozstrzelani.

Od tego czasu nic się na lepsze nie zmieniło — nawet przeciwnie: dziś zaofiarowuje się wężowi więcej dzieci, niż kiedykolwiek, których ciała przez wiernych pożerane zostają.

MAMAŁOI.

Otrzymałem następujący list:

Petit-Goaves (Haiti 16. sierpnia 1906.

Kochany Panie!

A więc dotrzymuję mego przyrzeczenia; napiszę wszystko tak, jakeś sobie Pan tego życzył, od samego początku. Zrób Pan z tem, co Pan zechce, przemilcz Pan tylko moje nazwisko ze względu na moich krewnych w Niemczech. Chciałbym im oszczędzić jakiegoś nowego skandalu, bo ten dawniejszy już im dosyć nerwów nadszarpał.

Na samym początku skromniutkie moje „curriculum vitae“ — według życzenia Pańskiego. Dostałem się tu jako chłopak dwudziestoletni do niemieckiej faktorji w Deremi; Panu przecież wiadomo, że cały handel tu w tym kraju spoczywa w rękach niemieckich. Wysoka pensja mnie skusiła, 150 dolarów na miesiąc. Zdawało mi się, że już jestem miljonerem. No! I robiłem karjerę wszystkich tych młodych ludzi, którzy dostaną się do tego najpiękniejszego i najwięcej zepsutego kraju całego ziemskiego globu: konie, kobiety — pijatyka i karciarstwo. Tylko niewielu zdoła się z tego bagna wydźwignąć, mnie uratowała moja niezwykle silna konstytucja cielesna. By się wy-

skrobać na wyższy szczebel, o tem myśleć nie było można; całe półrocza przeleżałem w niemieckim szpitalu w Port-au-Prince. Raz jednak udało mi się zrobić świetny interes z rządem — tam u Was nazywałby się wprawdzie taki interes niesłychanie bezczelnem oszustwem — dostałbym się za niego co najmniej na trzy lata do najostrzejszego domu karnego, tu dochrapałem się szczytnego stanowiska i wysokich honorów.

A, jeżeli się już o tem mówi, to musiałbym, gdybym za to wszystko, co tu każdy człowiek robi, a co tam u Was zbrodnią się nazywa, przez prawo cywilne Rzeszy Niemieckiej przewidziane kary miał ponieść, co najmniej pół wieku przeżyć, zaczemby się mógł z więzienia wydostać!

Ale chętniebym te lata odsiedział, gdyby mógł mi Pan tu jednego człowieka w moim wieku wskazać, któryby mniejszy ciężar deliktów, mówiąc delikatnie, od mego na swych barkach dźwigał! Swoją drogą musiałby i u Was każdy nowocześnie myślący sędzia, wszystkich nas uwolnić od winy i od kary, bo brak nam doszczętnie poczucia karnej odpowiedzialności za nasze czyny — całkiem przeciwnie, postępowanie nasze uważamy jako całkiem zgodne z prawem i w najwyższym stopniu honorowe.

A więc dobrze: budowlą przystani (mola) w Port-de-Paix — a ani jeden kamień nie został wmurowany — położyłem węgiel kamienny pod mój majątek; z kilku ministrami podzieliłem się po bratersku tym rabunkiem. Dziś posiadam jeden z najwspanialej kwitnących interesów na całej wyspie i jestem bardzo bogatym człowiekiem. Robię interesa, handluję — a raczej oszukuję, jakbyś Pan powiedział — zgoła wszystkiem, co tylko ist-

nieje, żyje w mojej pięknej willi, przechadzam się w moich wspaniałych ogrodach, piję na umór z oficerami „Hapag“*), jeżeli zawiną do naszego portu. Nie mam, chwała Bogu, ani żony, ani dzieci. Panu oczywiście wolno te bękarty, mulaty, które się po moich podwórzach rozbijają, za moje dzieci uważać, może dlatego, że je przypadkowo spłodziłem — niech Bóg ma Pana w swej opiece za Jego moralność! — ja tego nie czynię. Jednem słowem czuję się nad wszelki wyraz dobrze.

Przez lata całe wprawdzie odczuwałem wściekłą nostalgję za ojczyzną. Czterdzieści lat nie byłem w Niemczech — Pan to rozumie. Postanowiłem więc zwinąć cały interes, sprzedać go, jak się tylko da, chociażby i ze stratą, byle tylko na stare lata spocząć już na stałe w ojczyźnie. I kiedy już to postanowiłem, wzmogła się we mnie nagle ta tęsknota do tego stopnia, że nie mogłem doczekać chwili odjazdu: odłożyłem zatem likwidację wszystkich moich interesów tutejszych na późniejszy czas i na łeb na szyję wyruszyłem z porządnym mieszkiem pieniędzy do kraju, na razie tylko na półroczny pobyt.

Co prawda, pobyt mój ograniczył się do trzech tygodni, ale gdybym się jeszcze jeden dzień ociągał, to byłby mnie prokurator państwowy co najmniej jeszcze przez pięć lat w lubej ojczyźnie zatrzymał. To był właśnie ten skandal, o którym na początku wspominałem. „Ein neuer Fall Sternberg“**) pod takim nagłówkiem wyczytywała moja

*) Skrócenie na Hamburger-Packet-Aktien-Gesellschaft.

**) Sternberg, bankier berliński, słynny z procesu o stosunki z małoletniemi dziewczynkami, za co długoletniem więzieniem ukarany został.

wysoce porządna i ogólnie szanowana rodzina tłustemi czcionkami wydrukowane swe czcigodne nazwisko w berlińskich pismach codziennych. Nigdy nie zapomnę ostatniej rozmowy z moim bratem — a jest ci ten biedny człowiek nadradcą w konsystorzu ewangielickim. Trzeba było widzieć jego zgłupiałą minę, gdym go z najczystszem sumieniem i najniewinniej w świecie zapewniał, że te wszystkie dziewczątka liczyły jedenaście, co najwyżej dwanaście lat! A im więcej starałem się przed nim uniewinniać i z wszelkiej winy oczyścić, tem głębiej się zaprzepaszczałem.

Gdym mu się starał wytłumaczyć, że przecież w tem nic złego być nie może, boć przecież my tu w Haiti przeważnie z ośmioletniemi dziewczątkami obcujemy, bo inaczej towar ten albo całkiem zgniły, a w dziewiczym stanie całkiem nie istnieje — schwycił się za głowę i wykrztusił zbielałemi wargami: „Milcz, nieszczęsny bracie! Milcz! Moje oko spoziera w otchłanną czeluść potępieńczej zgnilizny!“

Trzy lata nic o mnie nie chciał wiedzieć i tylko tem go znowu sobie zjednałem i przebaczenie uzyskałem, gdym w testamencie moim dla każdego z jego jedenastu dzieci po 50 tysięcy marek wyznaczył, a dla jego synów prócz tego co miesiąc wcale pokaźną zapomogę regularnie wysyłam. W zamian zato wspomina mnie w swoich niedzielnych modłach i żarliwie Bogu mnie poleca. Jeżeli mu raz po raz piszę, nigdy nie zapominam dać mu do wiadomości, że znowu jakaś młoda dama w mojej miejscowości wkroczyła w ósmy rok życia i cieszy się mojemi specjalnemi względami. I proszę go, by swoje modły ku Panu za mnie, nędznego grzesznika, zasyłać raczył. Mam

nadzieję, że to coś pomoże! Raz mi pisał, że ustawicznie walczył ze swem sumieniem, czy wolno mu brać pieniądze od takiego w grzechach zatwardziałego człowieka, a często mu się już to zdarzało, że już, już miał mi pieniądze z powrotem odesłać; a tylko wzgląd i chrześcijańska litość nad nieszczęsnym bratem zniewalała go do przyjęcia tychże pieniędzy. Teraz atoli jest szczęśliw, łuski spadły z jego oczu, bo teraz wie doskonale że ja tylko z nim niewczesne żarty stroiłem. Mam już przecież 69 lat i nie byłbym zdolen do takich zbrodniczych występków. Ale prosi mnie jak najsolenniej, bym zechciał na przyszłość takich bezecnych żartów zaprzestać.

Odpowiedziałem mu — kopję, którą jako dobry kupiec z wszystkich listów zachowuję, podaje Panu w całości:

Mój kochany Bracie!

Twój list sromotnie mnie na moim honorze pokrzywdził. W przesyłce, złączonej z tym listem, przesyłam Ci korę i liście z drzewa Toluwanga, które mi co tydzień przynosi jeden stary murzyn. Twierdzi on, że liczy sobie 160 lat — to już przesada, ale 110 ma co najmniej. Przytem jest dzięki wywarom z tej kory — największym Don Juanem w całej okolicy, oczywiście obok Twego ukochanego brata. Ten ostatni jest zresztą całkiem swej sprawy pewien, tylko już w nadzwyczajnych wypadkach posługuje się raz po raz tym kosztownym trunkiem. Dlatego też mogę Ci z mego zasobu cośkolwiek użyczyć i ręczę za pożądany i bezwględnie pewny skutek. Pojutrze, by godnie uczcić Twój dzień narodzin, urządzę tu wspaniałą pijatykę, i przy tej uroczystości ku Twej chwale zamierzam zgnieść dwa siedmioletnie orzeszki, co

jest godziwe i tu w naszym kraju konieczne, by w ten sposób podnieść odświętny i radosny nastrój takiej uroczystości. Przy tem będę pił na Twoje zdrowie i powodzenie!

W dołączeniu posyłam Ci, ze względu na zbliżające się święta Bożego Narodzenia, czek na 3000 marek (trzy tysiące marek) z serdecznemi pozdrowieniami dla Ciebie i Twoich

Twój wierny brat.

P. S. A proszę, nie omieszkaj mi donieść czyś podczas świąt nie zapomniał wpleść mnie w Twoje modły. D. O.

Prawdopodobnie musiał się i tym razem mój słodki braciszek krwawo ze swojem sumieniem zmagać, ale wkońcu przezwyciężyło jego skrupuły chrześcijańskie miłosierdzie nade mną, nędznym grzesznikiem, — sądzę z tego, że czeku mi nie zwrócił.

Zresztą nie wiem, cobym jeszcze mógł Panu z mojego życia skreślić. Mógłbym Panu wprawdzie opowiedzieć setki drobnych przygód i igraszek, ale są one na pewno tego samego rodzaju, jak te, które Pan podczas swej włóczęgi po naszym kraju od wszystkich białych posłyszał.

Gdy teraz odczytuję mój list, widzę, że trzy czwarte tego, co pisałem, a co miało być mojem „curriculum", przypada na temat: „kobieta" — to jest istotnie charakterystycznem dla piszącego ten list. Cóżbym zresztą u djabła mógł powiedzieć! coś ciekawego o moich szkapach, moich towarach, moich winach?

Na dobitek sprzeniewierzyłem się pokerowi; w tej miejscowości, którą zamieszkuję, jestem jedynym białym, prócz jeszcze jednego agenta „Hapag", a ten nie gra w karty, jak również i ofice-

rowie tej linji, którzy mnie przy sposobności odwiedzają.

Pozostaje zatem kobieta — czegoż Pan chce? Skończyłem — teraz ten list włożę w zeszyt, w którym mam robić skrupulatne zapiski, jakich sobie Pan życzy, o rzeczach, o których nie mam najmniejszego wyobrażenia, ani nawet najlżejszego „czucia." Nie ręczę zatem, kiedy Pan ten list otrzyma — a wtedy może z całkiem nietkniętym zeszytem.

Pozdrawiam serdecznie kochanego Pana

Szczerze Mu oddany

F. X.

* * *

Do tego listu dołączone były następujące zapiski:

18. sierpnia.

Gdy przerzucam puste karty tego zeszytu, mam wrażenie, jakby coś zgoła nowego wciskało się w moje życie. I cóż takiego? Ten młody doktór, który tu u mnie przez trzy dni bawił, wziął ode mnie przyrzeczenie, że postaram się o zbadanie pewnej tajemnicy i w tym celu udam się na szukanie przygód. Tajemnica, która pewno całkiem nie istnieje, a ta zdumiewająca przygoda też pewno tylko w jego mózgu żyje! Przyrzekłem mu całkiem lekkomyślnie — sądzę, że będzie mocno rozczarowany.

Co prawda, to mnie jednak w zdumienie wprawił.

Pięć miesięcy włóczył się po tym kraju, a zna go daleko lepiej, aniżeli ja, który tu już od pięćdziesięciu lat mieszkam. Tysiące rzeczy mi opowiadał, o których nigdy nic nie słyszałem, a je-

żelim o nich coś słyszał, nie zważałem na nie: ot! takie bajdy i gusła! I prawdopodobnie słuchałbym z tem samem niedowierzaniem jego opowiadań i nie zwracałbym na nie tak dalece mej uwagi, gdyby nie to, że właśnie ze mnie powyciągał swojemi pytaniami mnóstwo rzeczy, z których sobie jasnej sprawy zdać nie mogłem, a które teraz nagle w całkiem innem świetle ujrzałem. A jednakowoż byłbym o tem wszystkiem zapomniał, gdyby się nie wydarzył mały wypadek z Adelajdą.

Jak też to było? Młoda murzynka — jest ona najładniejsza i najsilniejsza z wszystkich moich służebnic, a właściwie moja faworytka, odkąd się w moim domu znajduje, — nakrywała nam stół do herbaty. Doktór przerwał nagle rozmowę i spojrzał na nią badawczo. Gdy wyszła, zapytał mnie, czym nie zauważył małego, srebrnego pierścionka, z czarnym kamieniem, na dużym palcu jej prawej ręki. Oczywiście, że już go tysiąc razy widziałem, ale nigdy na niego uwagi nie zwracałem. Pytał dalej, czy też nie widywałem u innej takiego pierścionka? Możliwe, choć sobie tego dokładnie nie przypominam. Pokiwał w zamyśleniu głową.

Kiedy dziewczę znowu na werandę weszło, aby podać herbatę, zaśpiewał doktór, nie patrząc na nią, półgłosem parę tonów. Całkiem niedorzeczną piosenkę z idjotycznemi murzyńskiemi słowami, których nie rozumiałem:

Leh! Eh! Bomba, hen, hen!
Cango bafio te,
Cango moune de le,
Cango do ki la,
Cango li!

Nagle — trzask! Taca z całem nakryciem zleciała na kamienie, filiżanki i imbryki rozbite na

tysiące skorup. Dziewczyna z wrzaskiem wbiegła do domu. Doktór patrzył za nią, roześmiał się i rzekł:

„Daję Panu słowo: dziewczyna jest Mamaloi!“

Gawędziliśmy aż do północy, dopóki piszczałka okrętowa nie oznajmiła, że czas już wsiadać na parowiec do odjazdu. Kiedym go w mojej łodzi zawiózł na pokład, zdołał mnie już prawie przekonać, że żyłem dotychczas jak ślepy w świecie zdumiewających potworności o których istnieniu nic dotąd nie widziałem.

Teraz dopiero zaostrzyłem uszy i oczy.

— Na razie nic mi jeszcze tak dalece nie podpadło. Jestem bardzo ciekaw tych książek, które mi doktór chce nadesłać z Nowego Jorku; zresztą muszę mu bezwzględnie przyznać, że to jest wprost haniebne, iż dotychczas ani jednego słowa o tym kraju nie czytałem. Uniewinnia mnie to tylko, że nie widziałem, iż takie książki istnieją — nie widziałem ich również u żadnego z moich znajomych.

*

* *

27. sierpnia.

Adelajda zwolniła się znowu na ośm dni w głąb kraju do swoich rodziców. Jest ona jedynem dziewczęciem murzyńskiem, u którego kiedykolwiek tak wielką miłość ku rodzicom zauważyłem; jestem przekonany, żeby mi zbiegła, gdybym jej dobrowolnie nie dał pozwolenia. Już kilka dni przedtem zachowuje się całkiem dziwacznie, a gdy wraca, to ból rozstania tak nią całą wstrząsa, że już raz mi przy pracy doszczętnie z sił opadła. I pomyśleć tylko: murzyńska dziewczyna! Swoją drogą przeszukałem skrzętnie podczas jej nieobecności cały jej pokój; z całą skrupulatnością i prze-

biegłością detektywa — umyślnie przeczytałem w jednej takiej powieści odpowiedni rozdział. Nie znalazłem nic podejrzanego, ani nawet najmniejszego śladu czegoś, coby do myślenia dawało. Jedyna jej własność, której znaczenie nie było mi odrazu jasnem, to czarny, podłużny, okrągły kamień, który leżał w oliwie na talerzu. Sądzę, że używa go do masażu — wszystkie te dziewczyny uprawiają namiętnie masaż.

4. września.

Książki z Nowego Jorku nadeszły. Zaraz zabiorę się do czytania. Trzy dzieła w języku niemieckim, trzy w angielskim i pięć w francuskim, po części ilustrowane. Adelajda wróciła, ale tak zmiętoszona i wynędzniała, że musiała się zaraz do łóżka położyć. Znam już to, po paru dniach już stanie na nogi i będzie weselszą, niż zwykle.

17. września.

Jeżeli tylko dziesiąta część z tego wszystkiego jest prawdą, co w tych książkach piszą, to oczywiście wartoby wniknąć głębiej w tę tajemnicę, którą doktór przeczuwał już w mojem najbliższem otoczeniu. Ale ci podróżnicy starają się w swej ojczyźnie otoczyć nimbem niesłychanych przygód, i wtedy odpisuje jeden od drugiego najgłupsze brednie. Czy jestem rzeczywiście głupim osłem, że nie miałbym nic prawie wiedzieć o kulcie Vandoux z jego czczeniem węża i jego tysiącami ofiar ludzkich, które rok rocznie życie przy tych obrzędach tracą? Wprawdzie podpadło mi to i owo, ale nigdy nad tem się nie zastanawiałem. Spróbuję jednakoż to z mych wspomnień wyłowić, coby

mogło w jakimś związku z tym tajemniczym kultem pozostawać.

Raz wzbraniała się moja stara gospodyni — mieszkałem wtedy w Gonaives — pójść na rynek i zakupić wieprzowiny. Mogłoby to być ludzkie mięso — twierdziła. Wyśmiałem ją i przekładałem jej, że przecież przez cały rok kupuje wieprzowe mięso. Oczywiście, ale nigdy w czasie wielkanocnym". I nie dała się odwieść od swego urojenia i musiałem kogo innego posłać na targ. Widywałem też często owych „caprelatas" — w naszej okolicy zwią ich „hougons" — niemrawi starcy, którzy sprzedają „wanges". Są to małe torebki z muszelkami i różnokolorowemi kamyczkami, które tu noszą jako amulety. Rozróżnia się dwa gatunki: „points", chroniące od wszelkich ran, dla mężczyzn i „chances" dla kobiet, które jej zapewniają posiadanie nagiego kochanka. Ale nie widziałem, że ci oszuści — kupcy, chciałem powiedzieć — są tylko rodzajem niższej kasty kapłanów w służbie kultu Vandoux. I również nie przypuszczałem, że w związku z tym kultem stoi ta okoliczność, iż tyle potraw jest dla tych murzynów „tabu". Tak nie tknie Adelajda n. p. ani tomatów ani auberginów, nie je mięsa koziego ani też żółwiego. Natomiast twierdzi, że mięso kozła jest błogosławione, jak również „Maiskassan", ulubiony jej chleb z kukurudzy. Wiem też, że w każdej familji święci się przyjście na świat bliźniąt hucznemi festynami, gdy je kobieta na świat wyda, a uroczyściej może jeszcze, gdy oślica porodzi „marassas".

Ależ u djabła! Ta cała historja z mięsem ludzkiem wydaje się być głupią opowiastką, a i również te inne rzeczy, niewinnym i nieszkodliwym

zabobonem — w jakim kraju na całym świecie nie znajdzie czegoś podobnego?

19. września.

Co się tyczy Adelajdy, to zdaje się, że doktór się nie mylił, jeżeli swej mądrości zbytnio z książek nie zaczerpnął. O takim samym pierścionku wspomina Anglik Spencer St. John; nosi go, jak twierdzi „Mamaloi", kapłanka Vandoux. Swoją drogą przyznać muszę, żc w tej nazwie, jak również analogicznej arcykapłana, tkwi fantazja, jakiejbym się u tego murzyńskiego plemienia nie był spodziewał. „Papaloi", „Mamaloi" — to loi zastępuje widocznie w zepsutym francuskim żargonie „roi" — czyż można sobie piękniejszy tytuł wystawić? Matka i królowa — ojciec i król, to brzmi całkiem inaczej jak radca nadkonsystorza, jak się mój bogobojny braciszek mianuje. I nawet ten kamień, o którym myślałem, że służy do masażu, odnalazłem w tych książkach, mają go i Tippenhauer i Moreau de St. Méry. To istotnie zdumiewające! We własnej willi mam rzeczywistego boga — a zowie się on Damtala! Gdy jej w domu nie było, obejrzałem go sobie jeszcze raz dokładnie — opis jego jak najzupełniej się zgadza. Jest to bez wątpienia stara, świetnie oszlifowana kamienna siekierka z czasów Karaibów. Murzyni znajdują mnóstwo takich w lasach, nie mogą sobie ich pochodzenia wytłumaczyć i oddają im boską część. Kładą go na talerzu; on zna przyszłość i wypowiada ją grzechotaniem. Aby go utrzymać w dobrym humorze, otrzymuje co piątek kąpiel w oleju z oliwek. Mnie to niezmiernie bawi, a moja tajemnicza kapłanka z dnia na dzień coraz lepiej mi się podoba. Rzeczywiście można tu niejedną ta-

jemnicę wyśledzić, ale w tem wszystkiem niema nic strasznego ani groźnego.

* * *

23. września.

I teraz w moim siedmdziesiątym roku życia musiałem przyjść do przekonania, jak jest potrzebnem kształcić się we wszystkich gałęziach wiedzy! Inaczejbym nie był miał tej bajecznej przygody, gdybym jej nie był przedtem w książkach wystudjował!

Piłem na werandzie moją herbatę i zawołałem na Adelajdę, bo zapomniała o cukrze. Nie przyszła. Poszedłem do mojego pokoju, do kuchni, nie było jej tam, innych dziewcząt też nie było, a cukru też nie mogłem znaleźć. Idąc przez sień, poszłyszałem, jak ktoś w jej pokoju półgłosem mówi. Zbiegłem do ogrodu — jej pokój znajduje się na parterze — i wejrzałem do niego. Tam siedziała moja ładna, czarna kapłanka, ocierała najlepszą swoją jedwabną chusteczką kamień, położyła go na talerzu i polewała go ostrożnie świeżą oliwą. Była ogromnie podniecona, a oczy jej były pełne łez. Ostrożnie wzięła talerz między kończyny dwóch palców i wyciągnęła ramię. Trwało to jakąś chwilę, potem ramię jej poczęło drżeć, lekko z początku, a potem coraz silniej i gwałtowniej. I oczywiście kamień począł grzechotać. Adelajda przemawiała do niego, niestety nic nie rozumiałem.

Ale wymiarkowałem, o co chodzi — doskonale — doktór może być ze mnie zadowolony. Ja również, bo w gruncie rzeczy, ta sprawa cała może mile łaskotać moje serce. Tak więc poszedłem po kolacji wieczorem do jej pokoju, wziąłem grzechoczący kamień i siadłem w moim fotelu. Kiedy

przyszła, by sprzątnąć ze stołu, odłożyłem szybko gazetę na bok, wziąłem talerz do ręki i polałem kamień świeżą oliwą. Wynik mojej manipulacji był nadzwyczajny!

Trzask! Taca spadła na ziemię — w takich momentach zdaje się Adelajda popisywać tą swoją specjalnością. Na szczęście taca była tym razem próżna. Dałem jej znak, by się cicho zachowała i powiedziałem spokojnie: „Piątek! Dziś musi mieć świeżą kąpiel!" — „Pan chce go pytać?" szepnęła. „Oczywiście!" — „O mnie? — „Naturalnie!" To mi było w sam raz, teraz już wydobędą z niej jej tajemnicę, Kazałem jej wyjść i zamknąć drzwi za sobą. To też uczyniła, ale słyszałem doskonale, że stanęła w sieni i nadsłuchiwała. Teraz kazałem mojemu bożkowi grzechotać, że aż miło. Wyskakiwał na swoim oliwą wymaszczonym talerzu, że radość było patrzeć. Klap! klap! klap! przerywało długie, przeciągłe westchnienia Adelajdy, które z poza drzwi mnie dochodziły.

Ale w tej chwili, gdy boga piorunów pozostawiłem w spokoju i talerz na stole położyłem, wemknęła się cichutko do pokoju.

„Co powiedział?"

Cóż on też do djabła powiedział? Grzechotał, nic więcej. Milczałem zatem.

„Co powiedział?" napierała. „Tak? czy nie?"

„Tak!" powiedziałem na chybił trafił.

Podskoczyła z radości: „Petit moune? petit moune?*"

„Oczywiście: petit moune!" powtórzyłem.

Tańczyła i wyskakiwała wokół pokoju.

---

*) Po kreolsku zdrobniały sposób wyrażenia Hajtańczyków zamiast „petit monde" = małe dziecko, malec.

„Och, jaki on dobry, jaki dobry ten kochany bóg piorunów! Mnie to samo powiedział! Teraz musi tego dotrzymać, bo już dwukrotnie w jednym dniu to samo przyrzekł!"

Nagle spoważniała: „A co powiedział? Chłopiec czy dziewczyna?

„Chłopiec", odpowiedziałem.

Wtedy padła przedemną na kolana, płakała i wyła, i łkała gorąco, cała rozlana w błogości: „Ach wreszcie! wreszcie!"

* * *

28. września.

Wiem, że Adelajda już od długiego czasu mnie kocha i niczego sobie goręcej nie życzy, jak mieć ze mną „petit moune". Jest zazdrosną o wszystkie dziewczęta, których bękarty latają po podwórzu, mimo że się o nich całkiem nie troszczę. Jestem przekonany, żeby im najchętniej ślepie powydrapywała. A więc dlatego obchodzi się tak troskliwie z swoim bogiem piorunów. Zresztą była dziś wieczorem niezwykle rozkoszną, zdaje mi się, że jeszcze nigdy nie miałem tak kochanego dziewczęcia murzyńskiego. I zdaje mi się również, że ją bardzo lubię i nie mam nic przeciwko temu, by spełnić jej życzenie.

6. października.

To rzeczywiście nie do przebaczenia, że ja, jako dobry kupiec, nigdy książki nie prowadziłem, o ile przyczyniłem się do ulepszenia tej przeklętej rasy, tego pięknego kraju. Jak najwidoczniej zbyt nisko wartościowałem moje kulturalne zasługi. Dziś dogoniłem to, com zaniedbał, ułożyłem dokładną statystykę — a to nie było trudnem zada-

niem. Mam bowiem na dużym palcu trzy zgięcia, a te zdają się być dziedziczne. Więc jeśli tylko tu w mieście ktoś żyje z trzema zgięciami na dużym palcu, to bezwątpienia odemnie pochodzi i mojem jest dziełem. Zrobiłem przy tej sposobności zabawne odkrycie. Małego Leona, tego mulatka, uważałem zawsze za moją latorośl — mamusia jego również na to przysięga. Ale chłopak ma tylko dwa zgięcia na dużym palcu — więc coś się tu nie zgadza. Podejrzywam pięknego Krystjana, jednego z oficerów z Hapagi — on mi z pewnością partaczył w mojem rzemiośle. Zresztą brak mi czterech chłopaków. Podobno zbiegli już od paru lat; nikt mi nie może powiedzieć, gdzie się zaprzepaścili. Pal ich pies! To mi całkiem obojętne.

24. października.

Bóg-grzechotnik dobrze wyprorokował. Adelajda jest w siódmem niebie, a wobec mnie z taką niesłychaną czułością miodowych miesięcy, że to na mnie działa wprost niepokojąco. Jej duma i radość prawie mnie zaraziła, nigdy jeszcze w życiu nie troszczyłem się o rozkwit przyszłego ziemi obywatela, a teraz — nie mogę przeczyć — sprawa ta mnie jak najwidoczniej zajmuje. W to wliczyć trzeba coraz bliższy stosunek, jaki się między mną a Adelajdą ustala. Wprawdzie kosztowało to dużo zachodów, niejedno wzdryganie się i ociąganie, niejedną łezkę i czułostkę, zaczem zdobyłem całe jej zaufanie. Ci czarni umieją milczeć, jeżeli zechcą: to, czego powiedzieć nie chcą, nie wydobędziesz z nich, choćbyś ich rozpalonemi obcęgami szczypał.

I w tym wypadku zrządził niezwykle szczęśliwy traf, który dał mi do ręki broń, jaką ją zmusiłem do odrzucenia ostatniej maski.

Adelajda nie ma całkiem rodziców!

Dowiedziałem się o tem od zgrzybiałej staruszki, która zowie się Phylloxera i od dawnych, dawnych lat piele zielsko w moich ogrodach. Jest to wysuszona babina, która ze swoim prawnukiem, brudnym i zawszawionym łobuzem, tu w pobliżu w nędznej chacie mieszka.

Oberwańczy łobuz skradł mi znowu jaja i miał tym razem zostać porządnie batem oćwiczony; przyszlygutała starowina, aby go od kary wyprosić. Wzamian za tę łaskę przyrzekła mi dać dokładne wieści co do Adelajdy, bo oczywiście nie mogła nie zauważyć, w jakich łaskach ta się u mnie teraz znajduje. Wszystko, czego się od niej dowiedziałem — a musiałem starej na wszystkich świętych przysiąc, że jej nie zdradzę — jest tak niezwykle ciekawem, że dałem jej jeszcze za jej wyjaśnienia amerykańskiego dolara. Adelajda nie ma ojca, ani matki, a więc nie mogła, jak mi kłamała, swoich rodziców odwiedzać. Natomiast jest „Mamaloi“, królową-kapłanką kultu Vandoux. Jeżeli się u mnie ze służby zwalniała, to jedynie dlatego, by biec do „Honfou“, świątyni położonej daleko od siedzib ludzkich na polanie w głębokim lesie. A moja mała, słodka Adelajda odgrywa tam rolę okrutnej kapłanki, zaklina węża, dusi dzieci, pije rum, jak stary kapitan okrętowy, i odbywa niesłychane orgje! Nie dziw więc, że za każdym razem wraca na śmierć wyczerpana i umęczona do domu! Poczekajże-no tylko, ty mała, czarna kanaljo!

* * *

26. października.

Powiedziałem, że muszę pojechać do Sâte-Trou i kazałem osiodłać mego konia. Stara opisała

mi mniej więcej drogę do świątyni, to znaczy tak, jak stara murzynka wogóle drogę opisać jest wstanie. Oczywiście, że pobłądziłem i miałem tę przyjemność, że musiałem noc spędzić w dziewiczym lesie — na szczęście zabrałem ze sobą hamak. Dopiero rankiem następnego dnia odnalazłem świątynię Honfou, to znaczy bardzo dużą, ale nędzną chatę na leśnej polanie, która była wygładzoną i ubitą, jak plac, przeznaczony do tańca. Rodzaj ścieżki prowadził do świątyni, a po obu stronach ujrzałem wbite w ziemię pale, na których ponadziewane sterczały dawno już zdechłe czarne i białe kury, raz czarna, raz biała po kolei. Między palami leżały wydmuchane indycze jaja i groteskowo uformowane kamienie i korzenie. Ogromne drzewo morwowe, które tubylcy nazywają Loco i boską cześć mu oddają, stało u wnijścia do świątyni, a wokół niego rozbito ku jego czci mnóstwo szklanek, talerzy i flaszek na drobne skorupki.

Wszedłem do wnętrza. Parę dziur w dachu dawało dostateczne światło, pod jedną z tych dziur sterczała na wysokiej belce zwęglona głownia smolnej pochodni. Całe urządzenie świątyni było nad wszelki wyraz komiczne. Na ścianach widziałem rozwieszone podobizny Bismarcka z „die Woche“ i króla Edwarda z „Illust. London News“. Obydwie pochodzą prawdopodobnie ode mnie bo któżby tu zresztą te dwa pisma abonował? I oczywiście darowała je świątyni moja słodka Adelajda. Było potem jeszcze kilka obrazów świętych, potworne oleodruki, przedstawiające świętego Sebastjana, św. Franciszka i Matkę Boską, obok wisiały obrazki z „Simplicissimusa“ (oczywiście też moje) i z „Assiette au Beurre“. Pomiędzy temi obrazami zwieszały się stare gałgany dawnych chorągwi, łańcu-

chy z muszli i pstre wstęgi z różnobarwnego papieru. W głębi na podwyższeniu zauważyłem duży, mocny kosz. Aha! — pomyślałem — w tym koszu spoczywa Hougon-badagri, wielki bóg Vandoux! Bardzo ostrożnie otworzyłem wieko i szybko odskoczyłem, nie miałem najmniejszej ochoty pozwolić się ukąsić przez jakąś jadowitą gadzinę. Ale, o nieba! Wprawdzie znajdował się wąż w koszu, ale w jakim stanie! Była to niewinna żmija i na śmierć zagłodzona. Taki to już zwyczaj murzyński, coś czcić jako bóstwo, a po ukończonych uroczystościach już się całkiem o nie nie troszczyć!

Wprawdzie to nie trudno, nawet na poczekaniu pochwycić w lesie zastępcę tego boga! To już Damtali, bogu-grzechotnikowi, daleko lepiej się powodzi, jak temu wielmożowi Honedo-sobagni, który tam oto padł ofiarą głodowej śmierci: tamten otrzymywał przynajmniej co piątek świeżą kąpiel z oliwy, temu zaś, który w tym obłąkańczym, w pół-chrześcijańskim, w pół-pogańskim kulcie samego Jana Chrzciciela wyobraża, poskąpiono prostej żabki lub myszki!

* * *

29. października.

Kiedym następnego dnia zaskoczył Adelajdę moją nową wiedzą — udawałem, że o wszystkiem już dawno wiem i wszystko mi jest dobrze znanem — nie próbowała nawet już w czemśkolwiek zaprzeczać. Powiedziałem jej, że doktór mnie w te arkana wtajemniczył, a doktór jest wysłańcem Cimbi-Kita, głowy djabłów, i pokazałem jej siekierę, na którą wylałem trochę czerwonego atramentu. Siekiera, w krwi umaczana, jest symbolem tego złego demona.

Dziewczę trzęsło się na całem ciele, łkało i z trudem zaledwie dało się uspokoić.

— Wiedziałam o tem, wiedziałam, wołała, i powiedziałam to zaraz Papaloi! On jest Dom Pédre w własnej osobie.

Potwierdziłem to — dlaczego poczciwy doktór nie miałby być samym Dom Pédre? I teraz dowiedziałem się właśnie, że nasza miejscowość Petit Goaves, jest głównem siedliskiem szatańskiej sekty Dom Pédre. Był to człowiek — a musiał on być wspaniałym szalbierzem, który przywędrował tu przed dawnemi czasy z hiszpańskiej części wyspy i tu założył kult Cimbi-Kita, wielkiego djabła, i jego pomocnika Arilit. Zarobił pewno na tym interesie niezgorszą sumę pieniędzy. Ale niech mnie i on sam i jego wszyscy djabelscy papieże i podrzędni djabli żywcem do piekła wezmą, jeżeli i ja przy tym ogniu mej pieczeni nie upiekę. Mam już co do tego pewne pomysły.

18. listopada.

Dziś posłyszałem neklesin, żelazny trianguł, jak rozlegał się po ulicach. Jak często słyszałem tę dziecinną muzykę, a nigdy nic przytem sobie nie myślałem; teraz dopiero wiem, że to jest ów tajemniczo-groźny znak, który wiernych do świątyni nawołuje. Kazałem natychmiast zawołać moją małą Mamaloi i zakomunikowałem jej, że tym razem sam wezmę udział w uroczystej ofierze. Przerażenie jej nie znało granic, błagała, zaklinała, zalewała się łzami i dom krzykiem napełniała. Ale byłem nieugięty; pokazałem jej znowu starą siekierę, osadzoną na drewnianym trzonie, pomalowaną czerwonym atramentem, a która ją z grozy w kamień przemieniać się zdawała. Powiedziałem jej również,

że mam specjalne polecenia od Dom Pédre i że wszystko musi jak najdokładniej tak samo się odbywać, jak zwykle. Wyszła, by pomówić z houcibossales, utatuowanymi 21 kościelnymi Vandoux; i jestem przekonany, że uda się do samego Papaloi.

Podczas jej nieobecności przeczytałem jeszcze parę rozdziałów w swoich książkach: przytaczam tu garść danych, które się prawdopodobnie z rzeczywistością zgadzają. Według nich był oswobodziciel Haitu, Toussaint Louverture, sam Papaloi, również i cesarz Dessalines, jako też i król Krzysztof. I król Soulougne był kapłanem Vandoux, widziałem go jeszcze, tego czarnego rzezimieszka, kiedym przybył 1858 roku do Port-au-Prince. I prezydent Salnave, mój dobry przyjaciel Salnave, mordował ludzi w ofierze jeszcze 1868 r., a ofiarą był „bezrogi kozioł". Salnave któżby to pomyślał! Ten gałgański złodziej, z którym razem — właśnie w tym samym roku — nie budowałem owej wspaniałej przystani w Port-de-Paix, czem podłożyłem fundament do mego obecnego majątku.

Następuje prezydent Salomon, ten prastary osioł, a który był również gorącym zwolennikiem Vandoux. A, że Hipolit, następca jego, w niczem się od niego nie odróżniał, często słyszałem, ale, że szkielety przez siebie zamordowanych ofiar skrzętnie przechowywał, świadczy o nim bardzo dodatnio. Gdy umarł przed dziesięciu laty, znaleziono w jego pokojach cały szereg takich szkieletów; powinien był mi parę z nich testamentem przekazać, przecież nie jeden dobry interes wspólnie przeprowadzaliśmy. Wszystko pół na pół, a przytem otrzymywał ode mnie wszystkie uniformy darmo i z tylu złotemi szlifami, ile ich sobie tylko życzył! A wszystkie „kalypsos" płynęły z mojej

kieszeni, nigdy nie potrzebował ani jednego centima napiwku dawać panom deputowanym.

A więc dwaj prezydenci ze sześćdziesiątych i siedmdziesiątych lat, Geffrard i Boisrond Canal, starali się Vandoux wyplenić? Właśnie ci, z którymi najtrudniej było interesa przeprowadzać! I na czas ich rządów przypadają rzeczywiście procesy, wytoczone wiernym Vandoux. — 1864 roku rozstrzelano w Port-au-Prince ośmioro ludzi, którzy zamordowali dwunastoletnie dziewczę w ofierze i je następnie pożarli, i całkiem dla tej samej zbrodni został 1774 r. jeden Papaloi na śmierć skazany, a dwa lata później parę kobiet. Nie jest to wprawdzie dużo, jeżeli się zważy, iż rzeczywiście — według Texier, rok w rok zarzynają tu parę tysięcy dzieci — cabrits sans Cornes — i je spożywają.

Adelajda dotychczas jeszcze nie powróciła. Ale wolę moją bezwarunkowo, bądź co bądź, przeprowadzę. Przynależę do tego kraju i mam prawo poznać wszystkie jego właściwości.

*
* *

10. godzina wieczorem.

Papaloi przysłał swego wysłannika, avalon, coś w rodzaju kościelnego, który dopraszał się w zastępstwie swego pana, by mógł się ze mną rozmówić. Odesłałem go z powrotem i w nic się wdawać nie chciałem. Przedtem jednakowoż pokazałem mu moją atramentową siekierę, która i tym razem nie omieszkała wywrzeć silnego wrażenia. Kazałem Papaloi powiedzieć, że go na miejscu ubiję, jeżeli moje życzenia spełnione nie zostaną.

O dziewiątej godzinie znowu ten gałgan powrócił, by ze mną parlamentować, miał swoją drogą

przedemną piekielny respekt i nie odważył się wejść do mego pokoju. Kląłem przeraźliwie, posługując się imieniem herszta djabłów Cimbi-Kita. Ten człowiek jest co najmniej tak samo głęboko przekonany o mojej misji, jak Adelajda. Dotychczas jeszcze nie wróciła i jestem przekonany, że ją gwałtem powstrzymują. Powiedziałem avalon, że przyjdę po nią sam, razem z Dom Pédre, jeżeli w ciągu godziny nie zjawi się w domu.

* *

Północ.

Wszystko w najpiękniejszym porządku. Jutro rano może już ekspedycja wyruszyć. Papaloi zmiarkował, że od mego postanowienia niczem odwieść się nie pozwolę, więc musiał się poddać mej woli. Jak prawdziwy pop postarał się o to, by coś dla siebie uratować i postawił przez Adelajdę warunek, że wypłacę dwadzieścia dolarów dla ubogich gminy. „Ci biedni“ — to oczywiście on sam. Posłałem mu więc natychmiast pieniądze. Teraz zaciera czarny główny radca konsystorjalny ręce ze zadowolenia.

W zamian za to przysłał mi garść zgniłych roślin — miałem sobie z nich zrobić kąpiel, bym mógł zostać canzou, to znaczy otrzymać święcenie. Właściwie trzeba tkwić w tej gnojnej kąpieli przez czterdzieści dni, dopóki całkiem nie wyparuje, ale w drodze łaski skrócono mi całą procedurę. Wyrzuciłem oczywiście to paskudztwo do śmietnika, ze względu jednak na Adelajdę zjadłem drugi podarunek, Verver, mieszankę z kukurydzy i krwi. Smakowało to obrzydliwie. Teraz już jestem dostatecznie przygotowany, aby jutro w nocy zostać przyjęty w grono szatańskich kapłanów: bizangos i quinbindingues

* *

22. listopada.

Kosztuje mnie to dużo trudu, by trzymać pióro: ramię drży, a ręka wymawia posłuszeństwo. Dwa dni leżałem na otomanie i jeszcze dziś błąkam się jak w gorączce; wszystkie moje kości jakby były obtłuczone. Adelajda wciąż jeszcze leży w łóżku. Nic dziwnego po takiej nocy! Gdybym te moje przeżycia był mojemu bratu zakomunikował, toby może jednak dołączony do mego listu czek z powrotem mi odesłał.

O psiakrew, jak mnie krzyże bolą! Najlżejsze poruszenie każe mi krzyczeć z bólu. Słyszę, jak Adelajda stęka w swojem łóżku. Przed chwilą byłem u niej, ale nie mówiła ani słowa, płacze tylko cicho i całowała moją rękę. I nie byłem wstanie zrozumieć, że to biedne zwierzątko jest tą samą okrutną kapłanką, która kurczowemi, krwi chciwemi rękoma — —

Postaram się wszystko spokojnie opowiedzieć. Adelajda wyszła już rychłym rankiem, ja dosiadłem po południu mego srokacza, a do torby przy siodle włożyłem moje świetne browningi. Tym razem znałem już drogę do Honfoû, o zachodzie słońca byłem już na miejscu. Już zdala posłyszałem poprzez las hałas podniesionych głosów i wmieszany weń przeraźliwy rozjęk neklesinów. Duża polana roiła się od czarnych ciał, zrzucili z siebie wszelkie odzienie, przepasali sobie tylko wokół biódr czerwone chusteczki. Pili ze swych szerokobrzusznych flaszek tafję i biegali poprzez drogę, na której trzepotały się w przedśmiertnych drgawkach żywcem na tyki nadziane białe i czarne kury i rozbijali z łoskotem wśród krzyków i wrzasków flaszki

o święte drzewo morwowe. Widocznie oczekiwano mnie, przystąpiło do mnie paru mężczyzn, przywiązali mojego konia do drzewa i poprowadzili mnie tą drogą, przyczem opryskiwali z glinianych dzbanów krwią przeraźliwie gdaczące i trzepocące się kury, całkiem jakby polewali kwiaty na grzędach.

Przy wejściu do świątyni wsadził mi jeden z nich flaszkę do ręki, rozbiłem ją o morwowe drzewo.

Wkroczyliśmy do obszernej świątyni, i w jednej chwili wszyscy poczęli tłoczyć się za nami; pchany przez nagie ciała dostałem się w pobliże kosza z wężami. Ogromne smolne pochodnie tkwiły w belkach i kopciły poprzez otwarte luki w dachu. Podobał mi się ten czerwony odblask na czarnych, lśniących ciałach: muszę powiedzieć żem popadł w nastrój.

Obok kosza palił się ogień pod olbrzymim kotłem, a obok niego przykucnęli bębniści na swych bębnach Houn, Hountor i Hountorgri, poświęconych apostołom Piotrowi, Pawłowi i Janowi. Za nim stał ogromny drab, który bił w olbrzymi bęben Assauntor, który był naciągnięty skórą zmarłego Papaloi. Coraz szybciej wyskakiwały pałki i coraz rozgłośniej grzmiał bęben poprzez tłumem zapchaną, świątynię.

Usługujący avalon rozpędzali tłum na jedną i drugą stronę i utworzyli w środku wolne miejsce. Rzucili na nie suche drzewo i chrust i wsadzili między stos pochodnie. W okamgnieniu buchnął ogień na silnie ubitej podłodze. Poczem wprowadzili w koło pięciu adeptów, trzy kobiety i dwóch mężczyzn; ci właśnie przebyli czterdziestodniowe święcenia w gnoistej kąpieli, której mi szczęściem zaoszczędzono. Bębny przestały warczeć i wystąpił Papaloi.

Był to stary, chudy murzyn i tak jak inni, tylko czewonemi chusteczkami przepasany. Prócz tego miał na czole niebieską przepaskę, z pod której zwieszały się długie, ohydnie skołtunione strąki włosów. Podwładni mu kapłani, Dijoni, dali mu duży zwitek włosów, kawałków rogu i ziela do ręki, z którego powoli kawałeczki wrzucał do ognia. Przytem wzywał niebieskie bliźnięta, Sango, boga błyskawic, i Bado, boga wiatrów, aby coraz silniej święty płomień podniecali. Potem dał drżącym adeptom rozkaz, aby do ognia wskoczyli. Dijoni wciągali gwałtem i wpychali w ogień ociągających się, i wyglądało to wspaniale, jak tam w płomieniach, w rozpaczliwych susach wyskakiwali. Wreszcie wolno im było z ognia wyskoczyć i teraz poprowadził ich Papaloi do dymiącego kotła, obok kosza z wężami. Opeté, boskiego indora, począł teraz wzywać i Assougnie, boskiego paplacza. Ku ich czci musieli adepci ramiona wetknąć do kotła w gotującą się wodę, powyciągać kawały mięsa i podawać je uczestnikom na dużych liściach kapuścianych. I wciąż na nowo wsadzali straszliwie poparzone ręce do wrzącego rosołu, dopóki ostatni z wiernych nie otrzymał swej części. I teraz dopiero przyjął ich chudy starzec do gminy jako równouprawnionych członków — w imieniu Attaschollos, wielkiego boga wszechświata — i pozostawił ich wreszcie ich krewnym i przyjaciołom, którzy przykładali im kojące maście i plastry na sztraszliwie poparzone i popalone członki.

Ciekaw byłem, czy ten filantropijny starzec nie zażąda przypadkowo i ode mnie spełnienia tych ceremonij, ale nikt się o mnie nie troszczył. Podano mi tylko, jak każdemu innemu, liść kapuściany z mięsem, które też, jak wszyscy inni, zjadłem

Dijoni dorzucili nowy karm do ognia i ustawili nad nim rożen. Potem przywlekli za rogi trzy kozły, dwa czarne i jednego białego przed Papaloi. Ten wbił im w gardło potężny nóż na wylot i oddzielił jednem długiem pociągnięciem noża łby od tułowiów. Obydwoma ramionami podniósł łby w górę, pokazał je nasamprzód bębnistom, a potem, wiernym i wrzucił je, poświęciwszy je panu chaosu Agaon Kata Badagri, do dymiącego się kotła. Podczas tego chwytali Dijoni krew do wielkich naczyń, pomieszali ją z rumem i zaczęli rozdawać ten trunek do picia. Potem odarli zwierzęta ze skór i nadziali je na rożna.

I ja piłem nasamprzód jeden łyk, a potem więcej i coraz więcej. Uczułem, jak się we mnie rozchodzi dziwne odurzenie, dzikie, chciwe odurzenie, jakiego jeszcze nie znałem. Straciłem całkiem samowiedzę neutralnego, obserwującego widza, przeistaczałem się coraz więcej w uczestnika i dopasowałem się do wyuzdanego otoczenia.

Dijoni zakreślili obok ognia węgielkami czarne koło i w nie wkroczył Papaloi. I podczas, gdy pieczeń, którą błogosławił, smażyła się, wzywał wielkim głosem Allégra Vadras, boga, który wszystko wie. Błagał go, by oświecił swego kapłana, jego i wierną gminę. I bóg dał przez niego odpowiedź, że przyjdzie oświecenie i łaska wielka spłynie, jeżeli mięso kozłów kosztowanem zostanie.

Wtedy przyskoczyli czarni do rożnów, zerwali z nich rękoma mięso i pochłonęli je gorące i na wpół surowe. Łamali kości i obgryzali je potężnemi kłami i wyrzucali je w ciemną noc poprzez dziury dachu na cześć Allégra Vadras, wielkiego bóstwa.

I znowu zawarczały bębny. Najmniejszy Houn rozpoczął, potem Hountor i Houtorgri. A wkońcu

ryknął olbrzymi bęben Assauntor swoją potworną pieśń. Coraz dziksze wyrastało podniecenie, coraz goręcej i ciaśniej stłaczały się czarne ciała. Avalons posprzątali rożny, rozdeptali ogień, cały tłum pchał się naprzód i wtył.

I nagle ujrzałem, niewiem skąd się zjawiła, Adelajdę, Mamaloi, stojącą na koszu z wężem. Była jak i inni okryta czerwonemi chusteczkami, które się zwieszały z biódr i z lewego ramienia. Czoło było przepasane niebieską chustą kapłańską, a jej wspaniałe zęby lśniły w blasku pochodni. Wyglądała wspaniale — przewspaniale. Papaloi podał jej ogromny dzban, napełniony rumem i krwią, wychyliła go jednym tchem. Bębny umilkły, a ona poczęła śpiewać, nasamprzód po cichu, potem coraz głośniej rozbrzmiewała pieśń boskiego węża

„Leh! Eh! Bomba, hen, hen
Cango bafio tè,
Cango moune de lè.
Cango do ki la
Cango li!"

Dwa trzy razy wyśpiewała dzikie słowa, aż ze stu pijanych ust rozbrzmiało głośnym rykiem

„Leh! Eh! Bomba, hen, hen!
Cango bafio tê,
Cango moune de lè
Cango do ki la
Cango li!

Mały bęben towarzyszył jej pieśni, która znowu stała się cichsza i zamierać się prawie zdawała. Kołysała się w biodrach, głowa opadła, znowu ją podrzuciła i wywijała w powietrzu rękoma dziwaczne serpentyny.

Tłum umilkł, ze zapartym oddechem — w oczekiwaniu. Jeden z tłumu wyszeptał: „Niech będzie

błogosławiona, Manho, kapłanka nasza!“ A inny: „Jan Chrzciciel niech Cię pocałuje, Ciebie Houangan, oblubienicę swoją!“ Oczy murzynów z orbit zdawały się wyskakiwać, wszystko wessało się oczyma w cicho nucącą Mamaloi.

I rzekła cicho, prawie zamierającym głosem: „Przyjdzie tu do mnie! Honego słyszy nas, Honedo wielki wąż!“

Wszyscy się ku niej cisnęli, z trudem tylko zdołali służebnicy i kapłani utrzymać porządek.

„Czy otrzymam nowego osła tego lata?“ „A dziecko moje wyzdrowieje?“ „Czy wróci mój ukochany, którego wzięli do wojska?“ — Każdy stawiał jakieś pytanie i każdy miał jakieś życzenie. Czarna Pytja odpowiadała z zamkniętemi oczyma, z głową głęboko na piersi zwieszoną, z opadniętemi w dół ramionami, palce kurczowo rozczepierzone — nieruchoma i sztywna. Prawdziwe odpowiedzi wyroczni, które nie zaprzeczały, ani nie potakiwały, a z których każdy mógł to wywnioskować, co życzył sobie posłyszyć. I zadowoleni odchodzili na stronę, rzucali miedziaki do starego filcowego kapelusza, który stary Papaloi wystawił. Ale i srebro wpadało do niego.

Znowu zawarczały bębny, a Mamaloi zdawała się powoli budzić ze snu. Zeskoczyła z kosza, wyciągnęła z niego węża i znowu stanęła na nim. Była to długa, czarno-żółta żmija; oślepiona blaskiem ognia wyciągnęła żądło, syczała i okręcała się wzdłuż wyciągniętego ramienia kapłanki. Wierni rzucili się na ziemię i dotykali czołem podłogi. „Długo niechaj żyje Mamaloi, nasza matka i królowa, ona Houdja-Nikon, pani nasza wszechwładna“! I modlili się do wielkiego węża, a kapłanka odebrała od nich przysięgę wiecznej wierności.

„Tak niechaj wasz mózg zgnije, i jelita we waszem ciele, jeżeli złamiecie to, coście poprzysięgli!“ Wtedy zakrzyczeli: „Przysięgamy trzy uroczyste przysięgi, na Ciebie, Hougon-badagri, Janie Chrzcicielu, który do nas przychodzisz jako Sobagni, jako Honedo, wielki bóg Vandoux“!

Teraz otworzyła Mamaloi inny kosz, który stał poza nią. Wyciągnęła z niego kury, czarne i białe, i podnosiła je wysoko w górę. Wierni zerwali się z ziemi, chwytali trzepoczące się ptactwo i pooddzierali mu głowy. Pili chciwie z drgających ciał świeżą, wytryskującą krew. Ciała wyrzucali poprzez otwory w dachu: „Tobie Henedo, Tobie Hougon-badagri na znak, że dotrzymamy naszej przysięgi“.

Z tyłu zaczęło się tłoczyć do Mamaloi sześciu mężczyzn. Mieli na twarzy djabelskie maski, skóry koźle zwieszały się z ramion, a ciała ich były na czerwono krwią posmarowane.

„Strach, strach przed Cimbi-Kita!“ wyli.

Tłum zakołysał się, cofnął się i zrobił wolne miejsce, w które oni wkroczyli. Prowadzili dziesięcioletnią dziewczynę na powrozie, owiniętym wokół jej szyi. Dziecko patrzyło zdziwione wokół siebie, było wylęknione, wystraszone, ale nie krzyczało. Tączało się tylko, zaledwie mogło się utrzymać na nogach całkiem pijane od rumu. Papaloi przystąpił do niego: „Daję Cię Azilit i Dom Pèdre, niechaj Cię poniosą do najpotężniejszego z djabłów, do Cimba-Kita!“ Naprószył dziecku w kędzierzawą wełnę włosów kawałki rogu i zwoje włosów, położył na to palącą się głownię. Ale za nim jeszcze zdołało przerażone dziecko chwycić się rączkami za palące się włosy, już się rzuciła na nią Mamaloi, jak oszalała, ze straszliwym krzykiem. Jej palce

wpiły się kurczowo w cienki kark dziecka, podniosła dziecko w górę i udusiła je.

„Aa-bo-bo!“ wrzasnęła.

I zdawało się, że już swej ofiary z rąk nie wypuści. Wreszcie wyrwał jej arcykapłan martwe dziecko i odciął mu jednem chlaśnięciem noża główkę od ciała. A podczas tego ryczeli potężnym chórem kapłani djabła ich straszliwy, triumfalny śpiew:

„Interrogez le cemitière,
il vous dira
de nous ou de la mort,
qui des deux fournit
les plus d'hôtes“.

I znowu pokazał Papaloi z wysoko wzniesionemi ramionami głowę dziecka bębnistom, znowu wrzucił ją do dymiącego się kotła. Bez ruchu i bezmyślnie stała obok Mamaloi, podczas gdy kapłani djabła chwytali krew do naczyń, napełnionych rumem, i ciało na kawałki pocięli. Jak zwierzętom rzucali wiernym kawałki surowego mięsa, a ci rzucali się na nie, bili się o nie i szarpali.

„Aa-bo-bo! Le cabrit sans cornes“! wyli bezustannie,

I wszyscy pili świeżą krew, zmieszaną z mocnym rumem. Straszliwy trunek, ale się go pije, musi się go pić, coraz więcej — coraz więcej.

Teraz stanął jeden z kapłanów djabła obok kapłanki. Zerwał z siebie maskę i rzucił skórę. Stał całkiem nagi, a ciało jego było pomalowane krwią w dziwne znaki, ręce całkiem w krwi umaczane. Wszystko milczało, nie słyszałeś jednego głosu. Tylko mały bęben Houn warczał cicho w takt do djabelskiego tańca, tańca Dom Pèdra, który się miał teraz rozpocząć.

Tancerz stał nieruchomy, ani nawet nie drgnął i to przez przeciąg długich minut. Zwolna zaczął się na wszystkie strony kołysać, nasamprzód kołysał głowę, a potem ciało całkiem delikatnie. Wszystkie jego muskuły się wytężały, dziwne jakieś podniecenie opanowało go całego i zdawało się gdyby magnetyczne fluidum wszystkim udzielać.

Spozierano po sobie, jeszcze nikt się nie ruszył, ale wszyscy czują drganie nerwów. Teraz kapłan tańczy, obraca się powoli w kółko, potem szybciej, coraz szybciej, a coraz głośniej warczy bęben Houn, a bęben Hountor wpada teraz w takt. Teraz rozpoczynają się czarne ciała poruszać, jeden podnosi nogę, drugi ramię. Pożerają się wzrokiem; i już pochwyciła się jedna para i kręci się w tańcu. Teraz zawył Hountorgri i potężny Assauntor, jego ludzka skóra rozwyła się wściekłym w szał smagającym krzykiem lubieży. Wszyscy wyskakują, kręcą się w tańcu, rozpychają się, depczą po sobie, wywracają oszalałe kozły w powietrzu, rzucają się na ziemi, biją głowami o podłogę, znowu podskakują, rozciskają w powietrzu ramiona i nogi i szaleją, wyją i ryczą w dzikim rytmie pieśni, którą kapłanka śpiewa. Wyniosła stoi w pośrodku, wynosi wysoko ponad głowę boskiego węża i śpiewa, śpiewa:

Leh! Eh! Bomba, hen! hen!

Dotłoczył się do niej Papaloi, z wielkich wiader opryskuje krwią czarne postacie, wyskakujące coraz dziksze skoki i wyjące coraz zacieklej pieśń królowej.

Chwytają się wzajem, zrywają z siebie czerwone szmaty. Członki wykręcają gorący pot zlewa się strugami z ich nagich ciał. Pijani krwią

i rumein, smagani w szał bezdennej rozpusty, rzucają się na siebie, jak zwierzęta, ciskają się o ziemię, podrzucają się w górę i wbijają krwi chciwe zęby swoim współuczestnikom w czarne ciała. I czuję, jak mnie ten wir w siebie wchłania i sam szaleję wśród tych piekielnych opętańców. Obłąkana rozkosz i chuć rozwyła się w sali, krwi chciwy obłęd miłosny, który ponad wszelką miarę ludzką wyrasta. Już dawno śpiewać przestali, a z ich konwulsyj i delirij podnosi się rykiem djabelski okrzyk: „Aa-bo-bo“!

Widzę, jak kobiety i mężczyźni wzajem się w siebie wgryzają, biorą się we wszelkich możliwych pozycjach i położeniach. Z bestjalskiem pragnieniem krwi wpijają w dzikim szale paznogcie w ciała, rozszarpują je i rozdrapują. Krew zamracza ich zmysły i widzę, jak mężczyźni poprzez mężczyzn, kobiety na kobietach, się przeczołgują. Tam zwinęło się pięciu w jeden nierozerwalny kłąb, tam znowu przełazi jeden, jak pies, poprzez kosz z wężem. Ich rozszalała chuć nie zna już płci, nie rozróżnia nawet żyjących zwierząt od martwych przedmiotów.

Dwie dziewki murzyńskie rzuciły się na mnie, szarpały moje odzienie. Chwyciłem obydwie za piersi, rzucam je na ziemię. Przewracam się z niemi, tarzam się, wyję, gryzę — robię wszystko co inni. I widzę, jak Adelajda bierze jednego mężczyznę po drugim bez wyboru, ale też i kobiety coraz to inne, nienasycona w swej szatańskiej chuci. Rzuca się nagle na mnie, naga, nagusieńka, czerwona krew spływa po jej ramionach i piersiach. Tylko jeszcze niebieska przepaska ozdabia jej skronie, a z pod niej wiją się czarne żmije gęstych zwojów włosów. Ściąga mnie na ziemię, bierze mnie prze-

mocą, znowu odskakuje i ciska mi inną kobietę w ramiona. Tacza się wokoło, bierze i jest braną, coraz to w innych, czarnych ramionach.

A teraz już bezopornie rzucam się w najwściekłejszy szał w odmęty najniesłychańszych orgij płciowych, deliryj płciowych, deliryj rozpusty szaleję, wyję, ryczę z większą jeszcze wściekłością i więcej rozpasanym szałem, aniżeli inni, to straszliwe: „Aa-bo-bo“!

* *
*

Odnalazłem się wreszcie poza świątynią na placu dla tańców w całej bezwładnej masie czarnych kobiet i mężczyzn. Słońce dawno już zeszło, wokół mnie leżały pogrążone w śnie stękające i drgające czarne ciała. Dźwignąłem się z niesłychanym wysiłkiem woli, ubranie moje wisiało na mnie w strzępach. Ujrzałem Adelajdę leżącą w pobliżu, ciało jej było rozorane krwawemi ranami. Podniosłem ją i zawlokłem do mego konia. Skąd tyle sił wziąłem — niewiem. Jednak się udało. Posadziłem ją przed sobą na konia i pojechałem do domu, trzymając na siodle ciężko omdlałą. Kazałem położyć ją do łóżka — i sam się położyłem... Znowu słyszę ją, jak jęczy, pójdę do niej, by jej zanieść szklankę limonjady....

* *
*

7. marca 1907.

Miesiące upłynęły. Kiedy odczytuję te ostatnie stronnice, zdaje mi się, że to nie ja, ale ktoś inny to wszystko przeżył. Takie mi to dalekie i obce. I tylko wtedy, gdy jestem razem z Adelajdą, muszę

się przymuszać, by uwierzyć, że ona przytem była. Ona — Mamaloi! to oddane, przytulne, tkliwe, szczęśliwe zwierzątko? Jedną myślą teraz tylko żyje. Czy to tylko chłopak będzie? Czy rzeczywiście z całą pewnością chłopak? Sto razy się o to pyta. I za każdym razem tonie w błogości, jeżeli ją poważnie zapewniam, że to chłopak będzie. To nie do pojęcia: to dziecko, którego jeszcze niema wypełnia olbrzymie miejsce w jej myślach. I już mu imię nadaliśmy i już gotową jest jego cała mała bielizna. I sam się troszczę o tego robaczka narówni z Adelajdą.

Pozatem odnalazłem w niej nowe i niezwykłe przymioty. Jest teraz szefem oddziałowym mego interesu, z całą pensją i świetnie się spisuje. Przy moim interesie wyzyskuje nową gałęź przemysłu, która mi jest źródłem bajecznej rozrywki. Fabrykuję cudowną wodę, która doskonale działa na wszyskie możliwe przypadłości. Fabrykacja jest niezwykle łatwa: woda deszczowa, zabarwiona na różowo sokiem tomatów. Likwor ten wlewa się w małe brzuchate flaszeczki, które już z gotowemi napisami sprowadzam z Nowego Jorku. Etykieta jest wygotowana według moich wskazówek, pokazuje krwawą siekierę Cimbi Kita, a pod nią napis: Eau de Dom Pèdre. Flaszeczka kosztuje mnie 3 centy sztuka, a sprzedaję ją za dolara. Popyt niesłychany, murzyni dobijają się o tę wodę; już od ostatniego tygodnia rozsyłam ją wewnątrz kraju. Nabywcy są zresztą bardzo zadowoleni, twierdzą, że woda cudowna działa wprost z nadzwyczajnemi skutkami przy wszystkich możliwych chorobach. Gdyby umieli pisać, byłbym już w posiadaniu niezliczonych listów dziękczynnych. Adelajda jest oczywiście również przeświadczoną o niezwykłej potędze leczniczej wody, i handluje nią

z ognistym zapałem. Pensję swoją i swe procenty — otrzymuje naturalnie procent od sprzedaży — skrupulatnie mi oddaje, bym te pieniądze dla „jej chłopca“ przechował. Jest istotnie rozkoszna, to czarne dziecko; wydaje mi się prawie, że jestem w niej zakochany.

* *
*

26. sierpnia 1917.

Adelajda nie posiadasię ze szczęścia: ma swego chłopaka. Ale to jeszcze nie wszystko: jej chłopak jest biały i duma jej z tego powodu bez granic. Wszystkie dzieci murzyńskie przychodzą na świat, jak wiadomo, nie czarne, ale tak samo jak dzieci białych, czerwone jak raki. Ale jak te wkrótce stają się białe, tamte przeciwnie, czarne jak kruki, albo też, jeżeli z mieszanego stadła — brunatne. Wiedziała o tem Adelajda i ze łzami w oczach oczekiwała, że dziecko jej będzie czarne. Nie wypuszczała go ani na sekundę ze swych ramion, jakby w ten sposób chciała je przed tem uchronić, by się naturalnie nie zabarwiło. Ale mijała godzina po godzinie, dzień po dniu, a jej dziecko pozostało białe, białe jak śnieg, i, Bóg mi świadkiem, bielsze odemnie. Gdyby nie te małe, czarne skręcające się włoski, niktby nie uwierzył, że płynie w niem krew murzyńska. Dopiero po trzech tygodniach pozwoliła mi Adelajda wziąć je na ręce. Nigdy jeszcze nie miałem dziecka na ręku, i było to zabawne uczucie, jak się ten chłopak do mnie śmiał i bił wkoło małemi ramionkami. A ma już siłę w swoich paluszkach i zgięciach, a głównie w dużych palcach — oczywiście z trzema zgięciami.

Wspaniały chłopak, co się zowie!

Sprawia mi to przyjemność, jak patrzę na matkę, kiedy stoi poza stołem, na którym stoją baterje cudownych flaszeczek. Silna czarna pierś lśni, wyjęta z czerwonego stanika, a zdrowy, biały chłopak pije, co mu sił starczy. I przyznać muszę, że na moje stare lata czuję się tak zdrów, młody i silny, jak nigdy przedtem. Taki byłem uradowany dniem urodzin mego syna, że wysłałem mojemu ukochanemu bratu, porządny czek nadzwyczajny — dla mojego chłopaka jeszcze dosyć pozostanie.

* * *

4. września.

Dałem jej słowo, że już nigdy nie będę się zadawał z ludźmi Vandoux — chyba, że miałbym z nimi do czynienia w sprawie dystrybucji mojej cudotwórczej wody. A jednak musiałem się z tą bandą zetknąć, ale tym razem nie jako uczestnik, ale jako napastnik. Wczoraj przykusztykała do mnie ta odwieczna Phyloxera, która piele u mnie w ogrodzie zielsko. Jej prawnuk zaginął. Pocieszałem ją, że pewno do lasu pobiegł. Uwierzyła też w to początkowo, szukała go całemi dniami i badała, a teraz wie z pewnością; bidangos go pochwycili. Teraz go więżą w jednej chacie za wsią, a na przyszły tydzień poświęcą go ofierze Cimbi-Kita, Arilit i Dom Pedre. Przyrzekłem jej moją pomoc i udałem się w drogę. Przed słomianą chatą wyszedł naprzeciw mnie czarny drągal, poznałem go, był to pierwszy tancerz djabelskich kapłanów. Odtrąciłem go na bok i wszedłem do chaty. Tam znalazłem chłopaka, leżał przykucnięty w dużej kiście, związany za ręce i nogi. Duże kawały chleba z kukurydzy, maczane w rumie leżały obok niego

— zidjociałemi, zwierzęcemi oczyma patrzał na mnie. Przeciąłem powrozy i wziąłem go ze sobą, kapłan nie odważył się na najmniejszy protest. Kazałem chłopaka zaprowadzić natychmiast na parowiec Hapagu, który dziś wieczorem odjeżdża kapitanowi dałem list polecający do mego przyjaciela handlowego w St. Thomas, by się chłopakiem zajął. Teraz jest w bezpieczeństwie: gdyby tu był pozostał, prędzej, czy później, poszedłby na rzeź; ludzie Vandoux tak łatwo nie spuszczą z oka tego, dla którego cios śmiertelny został przeznaczony. Stara babina płakała z radości, gdy wiedziała, że jej jedyne szczęście — ten wstrętny, złodziejski wisielec — jest już bezpieczny na pokładzie. Teraz już się nie potrzebowała niczego lękać; jak wróci, będzie już dorosłym, a wtedy sam będzie umiał zarzynać.

Sam zresztą jestem zadowolony z mego uczynku. Jest to rodzaj zemsty za moich mulatów, którzy z mego podwórza poznikali. Stara czarownica zdradziła mi tajemnicę, poszli tą samą drogą, jaka była jej prawnukowi przeznaczona.

* * *

10 września.

Dziś od długich miesięcy po raz pierwszy miałem spór z Adelajdą. Dowiedziała się, że uratowałem prawnuka Phyloxery i zażądała ode mnie wyjaśnień. Kapłani Cimbi-Kita skazali chłopaka na śmierć, jak mogłem się na to poważyć, by ofiarę ich rękom wydrzeć?

W całym tym czasie nie mówiliśmy już nic o Vandoux, od tego dnia, w którym krótko po onej ofiarnej uroczystości, z własnej woli mi powiedziała, że złożyła swą godność Mamaloi. Nie

może już być kapłanką, mówiła, bo za bardzo mnie kocha. Śmiałem się wtedy z tego, a jednakowoż oświadczenie jej było mi miłem.

I teraz znowu rozpoczęła z tym swoim ohydnym zabobonem. Próbowałem z początku jej się sprzeciwić, umilkłem jednakowoż niezadługo, ponieważ wiedziałem, że jej żadną miarą nie wydrę wiary, którą wessała w siebie z mlekiem matczynem. Przytem zmiarkowałem, że jej wyrzuty wyrosły li tylko z miłości ku mnie i z jej wielkiego lęku o mnie. Łkała i zanosiła się płaczem, niczem nie mogłem jej uspokoić.

* *

15. września.

Adelajda staje się nieznośną. Wszędzie widzi upiory. Ustawicznie przy mym boku, jak pies, który swego pana bronić pragnie. Jest to wprawdzie bardzo wzruszające, ale zarazem i bardzo dokuczliwe, zwłaszcza, że chłopak, którego z rąk nie wypuszcza, rozporządza nadzwyczaj silnym głosem. Wszystkie moje potrawy sama przygotowuje, ale nie dosyć na tem, zaczem mi pozwoli tknąć się jedzenia, sama je naprzód kosztuje. Wiem wprawdzie, że murzyni są świetnymi trucicielami i wybornie znają się na botanice, ale nie wierzę, by się któryś z nich odważył na wypróbowanie swych wiadomości właśnie na mnie. Wyśmiewam więc Adelajdę, ale przy tem wszystkiem jakoś nieswojo się czuję.

*

24. września.

A więc „duszę" już mi odebrali. Wiem o tem od Phyloxery. Ta stara baba jest niemniej o mnie stroskaną, jak Adelajda. Przyszła dziś do mnie, by

mnie ostrzec. Chciałem wysłać Adelajdę z pokoju. ale uparła się, by zostać i wysłuchać. Kapłani zatem rozsieli wieść, jakobym był zdradził Cimbi-Kita, któremu zaprzysiągłem wierność — według nich jestem Loup garou, wilkołakiem, który dzieciom podczas snu krew wyssysa. Na to „zrabowali“ mi niektórzy z dijonów „duszę“ w ten sposób, że ulepili z gliny mój posążek i zawiesili go w świątyni. Ta procedura jest sama w sobie bardzo niewinna, ale ma jedną bardzo nieprzyjemną stronę: jestem teraz człowiekiem „bez duszy“, a tego może każdy z tego świata sprzątnąć. A nawet spełnia tem dobry uczynek.

Mimo to nie przykładam do tej całej historji zbytniego znaczenia i przez myśl mi nie przejdzie, by podzielać trwogę i lęk kobiet. Jak długo jeszcze moje krwiożercze brytany warują u mego progu, a moje browningi obok mego łóżka spoczywają, jak długo Adelajda sama moje jedzenie przyprawia, nie potrzebuję się tego czarnego motłochu lękać.

Jak daleko wspomnieć można, nie odważył się żaden murzyn targnąć się na białego! pocieszałem Adelajdę. Ale ona odpowiedziała: „Tyś dla nich przestał być białym! Uważają cię za jednego ze swoich, odkąd Cimbi-Kita poprzysiągłeś.

* *
*

2. października.

Żal mi biednej niewiasty. Chodzi jak cień za mną i ani na chwilę nie spuszcza mnie z oczu. Zaledwie, że się zdrzemnie w nocy, siedzi przy mojem łóżku na fotelu i czuwa nad moim snem.

Już nie płacze, cicha i milcząca chodzi obok mnie — zdaje się, jakoby walczyła z jakiemś ciężkiem postanowieniem

— — Zastanawiam się, jakby też to było, gdybym tu cały mój interes zwinął? Do Niemiec nie pragnę wrócić, nie dlatego, bym się lękał jakiegoś zatargu z głupiemi prawami — od czasu, jak mam Adelajdę i dziecko, dawno mi już kobiety z głowy wywietrzały — ale jest wprost niemożliwem, abym tam stąd mógł zawieść murzynkę jako moję żonę.

Mógłbym też osiąść w St Thomas. Adelajda z pewnością dobrzeby się tam czuła. Wybudowałbym sobie piękną willę i rozpocząłbym nowy jaki interes — bo jakąś pracę muszę mieć. Gdybym tylko mógł się tu wszystkiego pozbyć pod jakiemi takiemi, chociażby nawet i nieświetnemi warunkami.

Piszę w mojej pracowni, która wygląda jak forteca. Adelajda bowiem wyszła; nie powiedziała mi, dokąd idzie, ale jestem przekonany, że wchodzi z ludźmi Vandoux w układy. Trzy psy warują w pokoju przed zamkniętemi drzwiami, moje rewolwery leżą na biurku. Pusty śmiech człowieka zbiera — jakby się jakiś murzyn śmiał odważyć w biały dzień tknąć włoska na mej głowie! Ale musiałem się poddać życzeniom Adelajdy. Wyszła sama, chłopak leży na otomanie i śpi. Mam nadzieję, że przyniesie ze sobą dobre nowiny.

* * *

30. października.

Zdaje mi się, że Adelajda dostała pomieszania zmysłów. Krzyczała i waliła pięściami o drzwi. Nie dość szybko się zerwałem, by je otworzyć. Rzuciła się w tej chwili na dziecko, chwyciła je na ręce i o mało co go nie udusiła swojemi pieszczotami. Malec począł ryczeć w niebogłosy. Ale go nie

wypuszczała, całowała go, i tuliła. lękałem się, że zadusi go pocałunkami.

Zmiana, jaka w niej zaszła, jest przerażająca. Nie mówiła ani słowa, ale widocznie coś uzyskała. Już nie kosztuje moich potraw, lęk o mnie całkiem już, zdaje się, zanikł. A to oznacza, że wszelkie niebezpieczeństwo bezwarunkowo minęło. Ale ustawicznie krok w krok idzie za mną jak piesek. Przy kolacji siedziała milcząco obok mnie, nic nie tknęła, ale ani na chwilę nie spuszczała ze mnie oczu.

Coś straszliwego musi się w niej dokonywać, ale nic nie mówi, ani jednego małego słówka nie mogę z niej wydobyć. Nie chcę jej męczyć, widzę przecież, jak jej miłość ku mnie ją trawi.

Wszystko przedsięwezmę, by jak najprędzej stąd się wydostać. Już mówiłem z agentem linji Hamburg-Ameryka. W zasadzie godzi się, ale chce zaledwie dać czwartą część tego, co to wszystko jest warte, a to nawet chce mieć na spłaty. A jednakowożsię z nim ugodzę, dawno już moje owieczki do obory zagnałem, mogę też raz zrobić interes ze stratą. Chryste Panie, jak się Adelajda ucieszy, jak jej to powiem! Ożenię się z nią wtedy — dla chłopaka; jak najzupełniej na to zasłużyła. Ale dopiero wtedy, gdy się już całkiem ze wszystkiem załatwię, powiem jej: „No teraz możesz się spakować!“ — Oszaleje z radości!

* *
*

11. listopada.

Układy moje na najlepszej drodze; i teraz otrzymałem telegram od banku niemieckiego, że pożyczy mojemu następcy potrzebną gotówkę. Tem

samem została największa trudność pokonana, drobniejsze szczegóły szybko dadzą się załatwić, a ja stałem się uosobieniem uprzedzającej życzliwości. Zmiarkował to mój przyszły następca i już mnie teraz ostentacyjnie nazywa swoim przyjacielem i dobroczyńcą; no! Nie mogę mu tego za złe brać, że nie może ukryć swej radości z powodu tak bajecznego interesu. Kosztuje mnie to niezmiernie dużo trudu, by to wszystko ukryć przed Adelajdą. Stan, w którym się znajduje, coraz większą troską mnie przepełnia. Aleć przecież ten tydzień jeszcze wytrzyma, a radość jej będzie tem większą. Była jeszcze parę razy u ludzi z Vandoux, a za każdym razem wracała w przerażającym stanie. Nic z tego nie rozumiem, ale wszelkie niebezpieczeństwo, zdaje się, już minęło. Wszystkie drzwi są na noc, jak zwykle, otwarte, a i gotowanie zdała na dziewczynę. A więc cóż jej dolega?

Nie odzywa się już prawie wcale. Ale jej miłość do mnie i do dziecka wzmaga się z każdym dniem, rośnie nieledwie w nieskończoność. Miłość ta ma w sobie coś przerażającego, co mi prawie oddech zapiera. Kiedy biorę chłopaka na kolana i z nim się bawię, krzyczy, wybiega z pokoju, rzuca się na swoje łóżko i płacze rozdzierająco.

Nie ulega wątpliwości, że jest chora i mnie samego zaraża tą dziwną chorobą. Będę tę chwilę błogosławił, w której będziemy mogli to nieszczęsne gniazdo opuścić!

* *
*

15. listopada.

Dziś rano jakby całkiem zmysły utraciła. Chciała coś załatwić i wziąć dziecko ze sobą. I w tym zamiarze żegnała się ze mną w sposób, który już nic nie miał naturalnego w sobie. Oczy

jej już dawno od bezustannych płaczów czerwone i opuchłe, ale dziś rano buchały z nich istne wodotryski. Nie mogła się wyrwać z mych ramion i wciąż i wciąż dawała mi dziecko do całowania.

Byłem całkiem wstrząśnięty tą sceną. Na szczęście przyszedł niezadługo potem ajent Hapagu i przyniósł mi kontrakty do podpisania. Teraz już nazwiska położone, a czek na bank w moich rękach. Ten dom już do mnie nie należy; prosiłem kupca, by mi pozwolił jeszcze parę dni w nim zamieszkać. „Pół roku, jeżeli Pan zechce"! powiedział. Alem mu przyrzekł, że nie pozostanę dłużej nad jeden tydzień. W sobotę odchodzi parowiec do St. Thomas, muszę więc być do tego czasu całkiem spakowany.

Teraz ustawię kwiaty na stole — jak tylko Adelajda wróci, posłyszy tą radosną wieść!

* * *

5. godzina wieczorem.

To jest straszliwe. Adelajda nie wróciła, niema jej jeszcze. Powróciłem do miasta, nikt jej nie widział. Wróciłem do domu, ale jej nie było. W ogrodzie szukałem Phylloxery — nie było jej. Pobiegłem do jej chaty — znalazłem ją przywiązaną do słupa. „Wreszcie Pan przychodzi — wreszcie! Śpiesz się Pan, zaczem będzie za późno!" Odciąłem ją od słupa, z trudem wydobyłem cośkolwiek z całkiem pomieszanej staruszki. „Poszła do Honfoû wasza Mamaloi — bełkotała — do Honfoû z dzieckiem. Mnie tu przywiązano, bym panu nic mówić nie mogła". Pobiegłem do domu po pistolety. Piszę to, podczas gdy mi konia siodłają... Na Boga żywego — cóżby mogło — — —

* * *

16. listopada

Przejechałem przez las.

Wątpię, czy o czemśkolwiek myślałem. Tylko to jedno: musisz na czas przyjechać — musisz na czas przyjechać.

Słońce już zapadło, gdym wjechał na polanę. Dwóch drabów chwyciło konia za cugle, uderzyłem jednego z nich harapem przez gębę. Zeskoczyłem z konia, cugle uwiązałem wokół drzewa morwowego. Wtargnąłem do Honfoû, odtrącałem ludzi na prawo i na lewo.

Wiem, żem krzyczał. Tam stała na koszu w czerwonym blasku Mamaloi, wąż wił się wokół niebieskiej przepaski. I wysoko wyniesione trzymała za szyję dziecko, — moje dziecko i jej dziecko. I dusiła je, dusiła, dusiła.

Wiem, żem krzyczał. Wyrwałem z kieszeni browning i strzelałem. Dwa strzały, jeden w twarz, drugi w piersi. Zwaliła się z kosza. Podskoczyłem i pochwyciłem dziecko; zaraz widziałem, że było martwe. A jeszcze było takie ciepłe, tak paląco ciepłe.

Strzelałem na wszystkie strony w te czarne cielska. I to się pchało, stłaczało, rozbiegało na wsze strony, och, jak to mrowie wyło, szczekało, ryczało. Zerwałem pochodnie z belek i rzuciłem je na słomiane ściany. W okamgnieniu stanęło wszystko w płomieniach.

Siadłem na konia i pojechałem do domu. Przywiozłem z sobą moje martwe dziecko. Uratowałem je: nie od śmierci, ale od pożarcia przez tych czarnych djabłów.

— Na stole znalazłem ten oto list — niewiem, jak się tu dostał.

Do pana F. X.

Zdradziłeś Cimba-Kitę i chcieli Cię zabić. Ale nie chcą tego uczynić, jeżeli własne dziecko poświęcę. Kocham je, ale Ciebie jeszcze więcej kocham. A więc to zrobię, czego Cimbi-Kita wymaga. Wiem, że mnie od siebie odpędzisz, jeżeli posłyszysz, com ja uczyniła. Dlatego zażyję truciznę, a Ty mnie już więcej nie ujrzysz. Ale będziesz wiedział, jak bardzo Cię kocham. Bo teraz już jesteś całkiem uratowany.

Kocham Cię bardzo *Adelajda*

* *

Tu leży całe życie moje na kawałki potrzaskane. Co mam począć? Już teraz nic niewiem. Poskładam te wszystkie kartki i włożę je do koperty. To jeszcze jedna praca.

A potem?

* *

— — W tej chwili odpowiedziałem na ten list. Pod adresem mego listu zaadresowałem jeszcze do ajenta Hapagu z prośbą: „W danym razie proszę wysłać dalej“. Otrzymałem list z powrotem z napisem: „Adresat nie żyje“!

OPĘTANI.

PAJĄK

> And a will therein lieth, which dieth not. Who knoweth the mysteries of a will with its vigour?

Kiedy student medycyny Ryszard Bracquemont postanowił zamieszkać pokój pod Nr. 7. małego hotelu Stevens, rue Alfred Stevens 6, powiesiło się w nim, w trzech po sobie następujących dniach piątkowych, trzech ludzi na ramie okiennej.

Pierwszym z nich był jakiś wojażer handlowy ze Szwajcarji. Trupa jego znaleziono dopiero w sobotę wieczorem; lekarz skonstatował, że śmierć musiała nastąpić już w piątek pomiędzy piątą a szóstą po południu. Trup wisiał na silnym haku, który był wbity w ramę okienną, a zwykle służył do wieszania ubrań. Okno było zamknięte, zmarły użył sznura od firanek zamiast powroza. Ponieważ okno było bardzo nisko położone, więc nogi spoczywały prawie do kolan na podłodze; samobójca musiał zatem rozwinąć znaczny zasób energji w wykonaniu swego zamiaru.

Stwierdzono pozatem, że był żonaty i ojcem czworga dzieci, żył w całkiem pewnych i dostatnich stosunkach życiowych i odznaczał się z natury wesołem i zawsze zadowolonem usposobie-

niem. Nie pozostawił nic pisemnego, coby mogło odnosić się do jego samobójstwa, jak również żadnego testamentu — nigdy też nie wyjawił wobec swoich znajomych jakiegokolwiek zamiaru w tym względzie.

Nie wiele co inaczej miała się sprawa w drugim wypadku. Dwa dni później zamieszkał w tym samym pokoju Karol Krause, artysta cyrkowy, popisujący się na kole tuż w pobliskim cyrku Medrano.

Kiedy w następny piątek nie ukazał się w cyrku przed przedstawieniem, posłał dyrektor służącego teatralnego do hotelu. Służący znalazł artystę w niezamkniętym pokoju, wiszącego na ramie okna i to w całkiem analogicznej pozycji i tych samych okolicznościach.

I to samobójstwo było nie mniej zagadkowem: lubiany artysta pobierał wysoką gażę i przywykł — młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna, używać życia w całej pełni. I w tym wypadku ani jednego pisanego słowa, ani jednej uprzedniej, ustnej wzmianki. Pozostawił po sobie jedynie starą matkę, której regularnie co pierwszego każdego miesiąca wysyłał 200 marek na jej utrzymanie.

Dla pani Dubonnet, właścicielki małego taniego hoteliku, którego klientela składała się przeważnie z członków w pobliżu położonych teatrzyków i variété na Montmartre, były następstwa tego drugiego samobójstwa, w tym samym pokoju, bardzo przykre. Niektórzy z gości już się wyprowadzili, a inni, którzy zwykle stale ten hotel odwiedzali, już nie wrócili. Zwróciła się więc do komisarza IX-go obwodu, którego osobiście znała, a ten jej przyrzekł, że wszystko dla niej zrobi, co będzie w jego mocy. Rozpoczął zatem z niezwy-

kłym zapałem śledztwo co do możliwych przyczyn samobójstwa obydwóch gości hotelowych, a prócz tego dał jej urzędnika, który zamieszkał w tajemniczym pokoju.

Był to policjant Charles-Marja Chaumié, który się dobrowolnie na to zaofiarował. Ten stary „Marsouin“, infanterzysta w marynarce, który już miał jedenaście lat służby, jako sierżant, nie jedną samotną noc na czatach w Tonkinie i Anamie przepędził i niejedne zgóry niezapowiedziane odwiedziny na kocich łapach stąpających piratów morskich celnym strzałem w brzuch powitał, dawał wszelką gwarancję, że będzie się umiał załatwić z „widmami“, o których sobie ulica Alfreda Stevens opowiadała. Wprowadził się zatem już w niedzielę wieczorem do pokoju i położył się spać bardzo zadowolony z sutego jedzenia i napitku, jakim go zacna pani Dubonnet przedtem uraczyła.

Każdego dnia, co rano i wieczór, stawiał się Chaumié na rewirze policyjnym, by zdać krótki raport. W pierwszych dniach mógł tylko to jedynie zakomunikować, że nic, ale to nawet najdrobniejszej rzeczy nie zauważył. Ale już w środę wieczór mówił, że zdaje mu się, jakoby był na tropie. Kiedy nalegano na niego, by się jaśniej wyraził, prosił, aby mu na razie dozwolono milczeć: niema najmniejszego wyobrażenia, czy to, co mu się jego odkryciem wydaje, pozostaje w jakimkolwiek związku ze śmiercią obydwóch ofiar. A lęka się bardzo, że mógłby się łatwo zblamować i zostać narażony na śmiech. W czwartek zauważono, że zachowanie się jego było już trochę niepewne i poważniejsze, niż zwykle; ale i tym razem nic nie miał do powiedzenia. W piątek rano był dość znacznie podniecony i twierdził wpół

żartem, wpół na serjo, że to okno ma w każdym razie dziwną siłę przyciągającą. Ale zapewniał, że to wszystko nie ma nic z samobójstwem wspólnego i że napewneby go wyśmiano, gdyby chciał coś więcej powiedzieć. Wieczorem tego samego dnia nie pokazał się już więcej w rewirze: znaleziono go obwieszonego na haku, wbitym w ramę okienną.

I w tym wypadku były okoliczności, aż do najdrobniejszych szczegółików, absolutnie te same co w innych, poprzednich. Nogi zwieszały się na podłodze, zamiast powroza posłużył sznur od firanek. Okno było zamknięte, w drzwiach natomiast tkwił klucz niezakręcony; śmierć nastąpiła o szóstej godzinie po południu. Usta wisielca były szeroko rozwarte, a z nich zwisał język.

Ten trzeci wypadek śmierci w pokoju pod Nr. 7 sprawił to, że jeszcze tego samego dnia wszyscy goście się z hotelu Stevens wyprowadzili, z wyjątkiem jednego niemieckiego profesora gimnazjalnego pod Nr. 16, który wyzyskał tę sposobność i uzyskał obniżenie ceny wynajmu pokoju o jedną trzecią. A zaprawdę nie było to zbytnią pociechą dla pani Dubonnet, kiedy następnego dnia zajechała swoim automobilem Mary Garden, gwiazda Opéra-Comique i wytargowała od niej za dwieście franków czerwony sznur od firanek. Raz, że to szczęście przynosiło, a potem, że dostało się to czemprędzej do gazet.

Gdyby się to było w lecie stało, w jakimś lipcu lub sierpniu, otrzymałaby pani Dubonnet z pewnością potrójną cenę za swój sznur; pisma zapełniałyby bez wątpienia przez całe tygodnie swoje łamy tem zajściem. Ale tak, w samym środku sezonu: wybory, Marokko, Persja, run bankowy

w Nowym Jorku, nie mniej, ni więcej, jak trzy polityczne skandale: doprawdy, niewiadomo, gdzie tu jeszcze miejsca znaleźć. Wskutek tego były tajemnicze zajścia na rue Alfred Stevens daleko mniej omawiane, jak na to w istocie zasługiwały, a dalszem następstwem było to, że wzmianki w pismach były utrzymane w urzędowym, rzeczowym tonie policyjnego doniesienia i ogołocone całkiem z senżacyjnych ornamentów.

I te policyjne ogłoszenia, to było wszystko, co student medycyny Ryszard Bracquemont o całej tej sprawie wiedział. Tylko jednego szczegółu nie znał; szczegół ten wydawał się na razie tak mało znaczącym, że ani komisarz, ani też żaden z naocznych świadków jednem słowem wobec reporterów o nim nie wspominali. Dopiero później, po zajściu ze studentem medycyny, przypomniano go sobie. Kiedy bowiem policjanci zdjęli z haka martwe ciało sierżanta Charles-Maria Chaumié, wyczołgał się z szeroko rozwartej jamy ustnej wisielca duży, czarny pająk. Parobek hotelowy odpędził go przztyknięciem palców i zawołał: „A! do pioruna! Znowu taki potwór!“ Podczas śledztwa, które już później zostało przeprowadzone w sprawie Brecquemont'a zeznał, że już wtedy, kiedy zdejmowano z haka ciało onego szwajcarskiego wojażera, zauważył, jak poprzez jego ramię całkiem podobny pająk przeczołgał. — — Ale o tem wszystkiem Ryszard Bracquemont nic nie wiedział.

Wprowadził się do tego pokoju dopiero w dwa tygodnie po ostatniem samobójstwie. A, co w nim przeżył, spisywał skrupulatnie dzień w dzień w swoim dzienniku.

DZIENNIK RYSZARDA BRACQUEMONT'A
STUDENTA MEDYCYNY.

Poniedziałek, 28-go lutego.

Wprowadziłem się tu wczoraj wieczorem. Rozpakowałem moje dwa kuferki, urządziłem się na razie jako tako, a potem położyłem się do łóżka. Spałem doskonale. Biła godzina dziewiąta, kiedy mnie obudziło stukanie do drzwi. Była to gospodyni we własnej osobie i przyniosła mi śniadanie : widocznie musi się bardzo o mnie troszczyć — zmiarkowałem to z szynki, jaj i doskonałej kawy, którą mi przyniosła. Umyłem się i ubrałem, a potem przypatrywałem się, jak służący pokój sprzątał. Przytem paliłem moją fajkę.

A więc znalazłem się tu wreszcie. Wiem doskonale, że sprawa ta jest wcale niebiezpieczna, ale wiem również, że stanę mocno na nogach, jeżeli mi się uda, doszczętnie ją wyświetlić.

A jeżeli kiedyś był Paryż wart jednej mszy — tak tanio nie dostałoby się go po dziś dzień — to i ja mogę to trochę mojego życia na kartę stawić. Tu są wszelkie dane szanse, — doskonale : — postaram się je wypróbować.

Swoją drogą i inni przewąchali ten interes. Ni mniej ni więcej, jak 27 ludzi starało się wszystkimi sposobami i u komisarza i u gospodyni ho-

telu, by mogli ten pokój zamieszkać, — nawet trzy panie znalazły się w gronie współubiegaczy. Miałem więc poważną konkurencję; prawdopodobnie byli wszyscy razem tacy sami drapichrusty, jak ja.

Ale ja „otrzymałem miejsce“. Dlaczego? Prawdopodobnie byłem jedyny, który mógł przemądrej policji zaprezentować się z pewną „ideą“. Wspaniała idea! Naturalnie był to prosty wybieg.

Te moje zapiski są przeznaczone dla prześwietnej policji. I to mnie wprawia w doskonały humor, że już zaraz od samego początku mogłem tym panom porządnego psikusa wypłatać. Jeżeli komisarz jest rozsądnym człowiekiem, to powie odrazu: „Hm, właśnie dlatego, wydaje mi się Bracquemont być odpowiednim!“ Zresztą jest mi to całkiem obojętne, co potem powie: grunt, że teraz tu siedzę. I uważam to za doskonały omen, że rozpocząłem moją czynność właśnie tem, iż tych panów w pole wyprowadziłem.

Byłem też nasamprzód u pani Dubonnet, ale ta mnie posłała do rewiru policyjnego. Przez cały tydzień, dzień po dniu tam wylegiwałem, zawsze brano moję ofertę pod uwagę i zawsze z tym samym skutkiem: „Przyjdź Pan jutro“. Większa część moich współzawodników dawno już poniechała czasu i atłasu, a mieli prawdopodobnie coś lepszego do czynienia, jak wysiadywanie całemi godzinami w stęchłej izbie odwachu; komisarz począł się już irytować moją uporczywą wytrwałością.

Wreszcie powiedział mi całkiem stanowczo, że całkiem się na nic nie zda, jeżelibym się jutro znowu pokazał. Jest mi coprawda równie wdzięczny jak i tym innym za nasze dobre chęci, ale dla takich „dyletanckich sił“ niema żadnego za-

potrzebowania. Więc jeżeli niemam jakiegoś już opracowanego planu operacyjnego —

I na to pospiesznie dorzuciłem, że właśnie taki plan mam już gotowy. Oczywiście nie miałem żadnego i nie mógłbym mu jednego słowa z niego zdradzić. Ale powiedziałem mu, że wtedy tylko ujawnię mój plan, który sam w sobie jest dobry, ale bardzo niebezpieczny, i bardzo możliwe, iż to samo rozwiązanie znaleźć może, jak czynność sierżanta, jeżeli pod słowem honoru zaręczy, iż go sam spełni. Z tego oczywiście zrezygnował, twierdził bowiem, że niema czasu na podobne eksperymenty. Alem to wymiarkował, że coś uzyskałem, bo począł mnie wypytywać, czy nie mógłbym mu dać jakichś najogólniejszych wskazówek. — Ależ czemu nie? I zacząłem mu pleść niestworzone brednie, o jakich jeszcze przed sekundą nie miałem najmniejszego pojęcia — sam nawet nie wiem, skąd nagle wpadłem na tę dziwną myśl. Mówiłem mu, że wśród wszystkich godzin tygodnia jedna bywa zwykle, która dziwnie i tajemniczo oddziałuje. To jest ta godzina, w której Chrystus znikł ze swego grobu, by wstąpić do piekieł: szósta godzina wieczorowa ostatniego dnia żydowskiego tygodnia. I przecież sobie przypomina, że to właśnie ta godzina, w piątek między piątą, a szóstą po południu, w której się dokonały wszystkie trzy samobójstwa. Więcej ponadto wyjawić mu nie mogę, jeżeli chce się głębiej w to wtajemniczyć, to niech się wgłębi w Apokalipsę Św, Jana.

Komisarz nastroił minę, jakoby był cośkolwiek z tego zrozumiał, podziękował uprzejmie i poprosił, bym znowu wieczorem zaszedł. Ani o sekundę się nie spóźniłem — na stole leżał przed nim nowy testament. W międzyczasie oddawałem

się tym samym studjom, co on: przeczytałem Objawienie i — nie zrozumiałem ani jednego słowa. Bardzo możliwe, że komisarz był inteligentniejszym odemnie, w każdym razie powiedział mi, że zdaje mu się, mimo moich bardzo niejasnych i mglistych wywodów, jakoby zrozumiał cały mój proces myślowy. I powiedział mi również, że godzi się jak najzupełniej na spełnienie mych życzeń i przyrzekł mi wszelaką w tym względzie pomoc.

A muszę przyznać, że mi się w istocie nadzwyczajnie przysłużył. Przedewszystkiem załatwił wszystko z gospodynią i zawarł z nią umowę, że przez cały przeciąg czasu mego pobytu w hotelu wszystko darmo otrzymam, Dał mi doskonały rewolwer i policyjną gwizdawkę; czynni w służbie policjanci otrzymali rozkaz, by jak najczęściej odwiedzali małą rue Alfred Stevens i na najdrobniejszy znak z mej strony do mego pokoju wbiegli. Co atoli najważniejsze: kazał mi ustawić na stole telefon, który mnie bezpośrednio łączył z rewirem policyjnym. A ponieważ biuro policyjne stąd zaledwie o cztery minuty odległe, więc mogę mieć w każdej chwili jak najszybszą pomoc pod ręką. Ale przy tem wszystkiem całkiem nie rozumiem, czego mam się obawiać.

Wtorek, 1-go marca.

Nic nie zaszło, ani wczoraj, ani dziś. Pani Dubonnet przyniosła nowy sznur do firanek z innego pokoju — dosyć ich próżno stoi. Zdaje się, że szuka poprostu okazji, by mnie odwiedzać, a zawsze coś z sobą przynosi. Kazałem sobie powtórzyć w najdrobniejszyyh szczegółach wszystko to, co tu zaszło, ale nic nowego się nie dowiedziałem. Co się tyczy przyczyn zaszłych samobójstw,

to wyrobiła sobie własne niezłomne przekonania. Co do onego artysty cyrkowego, to jest przeświadczona, że w tym wypadku grała rolę nieszczęśliwa miłość; kiedy mieszkał tu u niej w ostatnim roku, odwiedzała go często młoda dama, ale ta się tu już odtąd nie pojawiła.

Co mogło onego pana z Szwajcarji spowodować, by sobie życie odebrać, tego wprawdzie nic wiedziała — ale przecież wszystkiego wiedzieć nie można. Sprawa sierżanta zato zupełnie jasna: popełnił samobójstwo jedynie dlatego, by ją rozłościć.

Muszę przyznać, że wyjaśnienia pani Dubonnet są cokolwiek mizernawe. Ale pozwoliłem jej gadać, ile jej się żywnie podobało... Bądź co bądź jest mi ulgą w mojej nudzie.

Czwartek, 3-go marca.

I jeszcze do dziś dnia nic, a nic. Komisarz dzwoni parę razy na dzień — odpowiadam mu, że świetnie się czuję: ale jak najwidoczniej nie zaspakajają go moje odpowiedzi. Wyciągnąłem kilka medycznych podręczników i rozpocząłem studja; tak więc mój dobrowolny areszt ma na wszelki wypadek jakiś cel i sens.

Piątek, 4-go marca, druga godzina po południu.

Zjadłem doskonały obiad; do obiadu przyniosła mi moja gospodyni pół flaszki szampana — to była rzeczywista uczta skazańca. Patrzyła na mnie, jakbym już w trzech czwartych był nieżywy. Zaczem z pokoju wyszła, prosiła mnie z płaczem, bym do niej zeszedł; pewno się lękała, że i ja się powieszę, by ją „rozłościć".

Obejrzałem sobie jak najdokładniej nowy sznur do firanek. Na nim więc miałbym się powiesić? Hm. najmniejszej ochoty do tego nie mam

Przytem sznur jest twardy i chropawy, a gdy się chce pętlicę zrobić, to się źle ściąga, trzeba już mieć dużo dobrej woli, aby móc powtórzyć przykład tych trzech innych. Teraz siedzę przy moim stole, na lewo telefon — na prawo leży rewolwer. Nie mam najmniejszego lęku, ale jestem — ciekaw.

6. godzina wieczorem.

I nic się nie wydarzyło, prawie, że nie napisałem: niestety! Przeznaczeń brzemienna godzina nadeszła i upłynęła — a była taką, jak wszystkie inne. Jednakoż nie mogę się wyprzeć, że chwilowo odczuwałem niejaką chęć, by podejść do okna — istotnie! Ale z innych przyczyn! Komisarz dzwonił telefonicznie między piątą a szóstą co najmniej dziesięć razy — był co najmniej tak samo niecierpliwy, jak ja. Ale pani Dubonnet rozpływała się: cały tydzień ktoś u niej zamieszkał pod Nr, 7, a nie powiesił się. To nie do uwierzenia!

Poniedziałek, 7-go marca

Teraz już jestem całkiem przekonany, że nic nie wykryję, i coraz więcej skłaniam się ku przeświadczeniu, że w tych wszystkich samobójczych wypadkach moich poprzedników odegrał rolę li tylko — dziwny przypadek. Prosiłem komisarza, by raz jeszcze zechciał w tych trzech wypadkach jak najściślejsze śledztwo przeprowadzić, a jestem pewien, że wkońcu dadzą się przyczyny odnaleźć. Co do mnie samego, to pozostaję tu tak długo, jak to będzie możliwem. Paryża oczywiście nie zdobędę, ale żyję tu darmo i pasę się, co się zowie. A przytem przysiadłem fałdów, pracuję i coraz więcej czuję, jak się rozpierać poczynam. A przy-

tem mam jeszcze jedną przyczynę, która mnie tu przykuwa...

Środa, 9-go marca.

A więc postąpiłem jeden kroczek naprzód. Clarimonde — —

Aha! Przecież dotąd nic jeszcze o Clarimondzie nie mówiłem.

Przyznaję zatem: jest ona moją „trzecią przyczyną“, dla której tu pozostaję i ona była powodem, dla czego w onej „przeznaczeń brzemiennej godzinie“ tak mnie nieprzeparcie ku oknu ciągnęło — ale nie dlatego, bym się chciał obwiesić.

Clarimonde — dlaczego tylko ją tak nazywam? Nie mam najmniejszego wyobrażenia, jak jej na imię, ale wydaje mi się koniecznem, że muszę ją nazywać Clarimonde. I mógłbym się założyć, że się tak rzeczywiście nazywa, gdybym ją miał kiedyśkolwiek o jej imię zapytać.

Zauważyłem Clarimonde zaraz już w pierwszych dniach. Mieszka tuż na przeciw na tej bardzo wąskiej ulicy, a jej okno wprost na przeciw mojego. Tam siedzi poza firankami. Swoją drogą muszę zaznaczyć, że rychlej poczęła mnie obserwować, aniżeli ja ją i jak najwyraźniej było widocznem, że się mną zainteresowała. Nic dziwnego — cała ulica wie, że tu mieszkam i dlaczego — a oto, by wszyscy o tem wiedzieli, postarała się pani Dubonnet.

Nie mam, niech mnie Bóg uchowa, kochliwej natury, a stosunki moje do kobiet były zawsze bardzo skąpe i oględne. Jeżeli się przyjechało z Verdun'u do Paryża, by studjować medycynę, a ma się przytem tak mało pieniędzy, że zaledwie co trzeci dzień do syta najeść się można, wtedy myśli się o czem innem, jak o miłości. Mam zatem

bardzo mało doświadczenia, a może całą tę sprawę całkiem głupio rozpocząłem.

Bądź, co bądź, podoba mi się taką, jaką jest.

W początkach ani mi na myśl nie przyszło, jakoby mógł jakiś związek między mojem *vis-à-vis* a mną istnieć.

Myślałem sobie tylko, że kiedy tu już raz siedzę, by obserwować, a pozatem nic innego mimo najlepszych chęci spostrzec nie mogę, to mogę równie dobrze wpatrywać się w moje *vis-à-vis*. Całego dnia nie można przecież nad książkami wysiadywać. Skonstatowałem zatem, że Clarimonda zamieszkuje jak najwidoczniej sama jedna małe piąterko. Ma ona trzy okna, ale Clarimonde siedzi tylko przy jednem, które właśnie wprost naprzeciw mojego leży; tam siedzi i przędzie przy małym, staroświeckim kołowrotku. Widziałem raz taki kołowrotek u mej babki, ale ta go nigdy nie używała, odziedziczyła go tylko po jakiejś starej pra-ciotce. Nie wiedziałem, że ten odwieczny instrument jest jeszcze dotychczas w użyciu. Zresztą kołowrotek Clarimondy jest bardzo małem, delikatnem narzędziem, cały biały i zdaje się z kości słoniowej sporządzony, bo nitki, które ona przędzie, muszą być nieskończenie delikatne.. Cały dzień siedzi za firankami i pracuje bezustannie, dopiero, gdy się ściemnia, przestaje. Coprawda, to już teraz ściemnia się bardzo rychło w tych mglistych dniach i w tej ciasnej uliczce — o piątej zapada już najpiękniejszy zmrok. Nigdy jeszcze nie widziałem światła w jej pokoju.

Jak ona wygląda? — Nawet i tego jasno określić nie mogę.

Ma czarne włosy, falowane w gęstych puklach i jest dość bladą.

Nos jest mały i wąski, a nozdrza się poruszają. I wargi jej ust są blade, i zdaje mi się, że jej małe ząbki są spiczaste jak u zwierząt drapieżnych. Powieki rzucają długie cienie, ale gdy je podnosi, świecą duże, ciemne oczy. To wszystko jednak raczej przeczuwam, aniżeli istotnie wiem. Trudno coś dokładnie poza zasłonami rozpoznać.

I jedno jeszcze: ma na sobie zawsze czarną, pod szyję zapiętą suknię; dwie liliowe plamy można na niej dostrzedz. I zawsze ma na rękach długie czarne rękawiczki, prawdopodobnie, by ręce przy pracy ochraniać. I to dziwnie wygląda. jak te wąskie, smukłe, czarne palce szybko nitki chwytają, przesuwają, zdałoby się, je splątywają — to wygląda prawie, jak szybki bieg owadów.

A nasz wzajemny stosunek? Co do tego, to Bogiem a prawdą, jest on bardzo powierzchowny, a jednak zdaje mi się, jakoby był daleko głębszy. Ostatecznie rozpoczęło się tem, że spoglądnęła ku moim oknom, a ja ku jej. A potem musiałem się jej widocznie podobać, bo jednego dnia, gdy znowu ku niej spoglądałem, uśmiechnęła się — ja oczywiście — też. I tak upłynęło parę dni — częściej i coraz częściej uśmiechaliśmy się do siebie. Wreszcie postanawiałem sobie prawie co godzinę, by się jej pokłonić; nie wiem jednak dokładnie, co mnie od tego powstrzymywało, by tego nie czynić.

A wreszcie zrobiłem to — dziś popołudniu I Clarimonde odkłoniła mi się nawzajem. Skromnie, leciutko, ale ja doskonale zauważyłem, jak główką skinęła.

Czwartek, 10-go marca.

Wczoraj rano ślęczałem nad książkami. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, bym się zbytnio w nich

zagłębiał: budowałem zamki powietrzne i marzyłem o Clarimonde. Spałem niespokojnie i późno już było, gdym się obudził.

Gdym podszedł do okna, siedziała już Clarimonde przy kołowrotku. Ukłoniłem się i ona mi się odkłoniła. Uśmiechnęła się i patrzyła długo na mnie, Chciałem pracować, ale nie mogłem znaleźć w sobie spokoju do pracy. Siadłem przy oknie i wpatrywałem się w nią. I ujrzałem, że i ona złożyła ręce na łonie. Pociągnąłem za sznur, odsłoniłem firanki, i prawie w tej samej sekundzie — uczyniła to samo. Uśmiechnęliśmy się do siebie i wpatrzeni w siebie siedzieliśmy bezczynnie — z jaką dobrą godzinę.

Potem przędła dalej.

Sobota 12-go marca

I tak dzień po dniu mija. Jem i piję i siadam do pracy. Zapalam fajkę i pochylam się nad jakąś książką. Ale nie czytam ani słowa. Wciąż na nowo próbuję, ale już z góry wiem, że wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą. Potem podchodzę do okna. Kłaniam się, Clarimonda dziękuje ukłonem. Uśmiechamy się i wpatrujemy się w siebie — całemi godzinami —

Wczoraj po południu, tak około szóstej, byłem trochę niespokojny. Mrok zapadł, już bardzo wcześnie i uczułem pewien lęk. Siedziałem przy biurku i czekałem. Rwało mnie coś nieprzepartą siłą ku oknu — oczywiście nie dlatego, by się obwiesić, ale, aby Clarimonde ujrzeć. Podskoczyłem ku oknu i stałem za firanką. Jeszcze nigdy — tak mi się przynajmniej wydaje, nie widziałem jej tak dokładnie, mimo, że już dobrze pociemniało. Przędła, ale jej oczy były na mnie zwrócone. Uczułem dziwną

rozkosz i błogość, ale równocześnie lekkie wstrząśnienie lęku.

Telefon zadzwonił. Byłem wściekły na głupiego komisarza, który mnie swojemi idjotycznemi pytaniami wyrwał z mych rozkosznych marzeń.

Dziś rano odwiedził mnie razem z panią Dubonnet. Jest ona bardzo zadowolona z mej czynności, wystarcza jej to jak najzupełniej, że już dwa tygodnie żyję cały i zdrów pod nr. 7.

Ale komisarzowi to nie wystarcza, domaga się jakichś rezultatów. Robiłem tajemnicze wzmianki, jakobym był na tropie niesłychanie dziwnej sprawy, a ten osioł we wszystkiem mi wierzył. W każdym razie mogę tu jeszcze całe tygodnie przesiedzieć, a o nic więcej mi nie chodzi. Nie zależy mi na pani Dubonnet, ani na jej kuchni i piwnicy — niech Bóg broni — jak się to wszystko człowiekowi sprzykrzy, gdy codzień jest syty! Ale na jej oknie, którego się tak lęka i je nienawidzi, a które ja tak gorąco ukochałem — to okno, które mi Clarimonde pokazuje.

Kiedy zapalę lampę, wtedy już jej nie widzę. Oczy sobie wypatrywałem, by się przekonać, czy przypadkowo z domu nie wychodzi, ale nie widziałem nigdy, by jej noga na ulicy postała. Mam duży, wygodny fotel, a nad lampą zieloną umbrę, a ten zielonawy odblask takiem ciepłem mnie przejmuje. Komisarz przyniósł mi duży pakiet tytoniu — nigdy w życiu nie paliłem równie doskonałego — a mimo to wszystko nie mogę pracować. Czytam dwie, trzy stronice, a jeżeli je ukończę, to wiem, żem ani słowa nie zrozumiał. Oko tylko przyjmuje wrażenie głosek, ale mózg nie chce z niemi łączyć pojęć. Pękać ze śmiechu! Jakby nad nim widniał napis: Wejście wzbronione! Jakby wogóle

nie chciał przyjmować żadnej innej myśli, prócz tej jednej o Clarimonde!

Wreszcie odsuwam od siebie książki, rozkładam się głęboko w fotelu i — marzę

Niedziela, 13-go marca,

Dziś rano byłem świadkiem małego widowiska. Przechadzałem się na kurytarzu w tę i ową stronę, podczas gdy służący sprzątał w moim pokoju. Przed oknem, wychodzącem na podwórze wisi pajęczyna, a tłusty krzyżak — pająk siedzi w niej na czatach. Pani Dubonnet nie pozwala tej pajęczyny zmieść: pająki przynoszą szczęście, a przecież dosyć nieszczęść miała w swym domu. I ujrzałem, jak jeden daleko mniejszy pająk obiegał ostrożnie pajęczą siatkę — był to samiec. Z tysiącem ostrożności szedł po chwiejnej nitce ku środkowi, ale jak tylko samiczka się poruszyła, czemprędzej uciekał. Uciekał na drugi koniec, by na nowo swoją próbę zbliżenia się powtórzyć. Wreszcie zdawało się, że silna samiczka tronująca w środku siatki skłania się ku jego zalotom: ani nie drgnęła. Samiec targnął nitkę, z początku leciutko, potem coraz silniej, tak, że cała siatka się zatrzęsła: ale jego uwielbiana nie ruszyła się. Wtedy podbiegł ku niej szybko, ale nieskończenie ostrożnie. Pozwoliła mu się przybliżyć, przyjęła go w skupieniu, zezwoliła w oddaniu się objąć: bez ruchu spoczywała miłosna para przez długie minuty w pośrodku dużej sieci.

Potem ujrzałem, jak się jedna noga samca po drugiej wyzwalać jęła — wyglądało to, jakby się cichutko chciał oddalić i pozostawić swoją towarzyszkę w rozkosznym śnie miłości. I nagle całkiem się od niej wyzwolił i wybiegł, co mu sił starczyło.

z sieci. Ale w tej samej chwili zerwała się samiczka w dzikim rozpędzie i ze zdumiewającą szybkością poczęła go ścigać. Słaby samiec spuścił się w dół po nitce, ale to samo zrobiła jego kochanka. Oboje padli na deskę od okna, samiec próbował jeszcze w ostatnim wysiłku uciec — ale już za późno. Samica pochwyciła go silnym chwytem i zaniosła go znowu z powrotem do środka siatki. I na tem samem miejscu, które było przed chwilą łożem rozkosznej chuci, odegrała się całkiem inna scena. Napróżno targał się samiec na wszystkie strony, wyciągał swoje słabe nogi, usiłował się wydobyć z żelaznego uścisku: kochanka jego już go nie puściła. W paru minutach tak go nićmi omotała, że nie mógł się całkiem ruszyć: A potem wbiła ostre obcęgi w jego ciało i piła, co jej sił starczyło krew swego kochanka. Widziałem jeszcze, jak w końcu uwolniła nierozpoznawalną już garstkę — nóżki, skórę i nitki — i wyrzuciła ją pogardliwie z siatki.

Taką jest więc miłość u tych zwierząt — no! mogę być szczęśliwy, że nie jestem młodzieńczym — pająkiem.

Poniedziałek, 14-go marca.

Teraz już nie zaglądam do moich książek. Całe dnie przepędzam przy oknie. A jeżeli się już całkiem ściemnia, to i wtedy się nie ruszam z miejsca. Jej już niema, ale ja zamykam oczy i widzę ją jednakoż.

Hm, ten mój dziennik stał się istotnie czemś innem, jak sobie z początku wyobrażałem. Opowiada o pani Dubonnet, o komisarzu, o pająkach i o Clarimonde. Ale ani jednego słowa o odkryciach, które tu poczynić chciałem. Czyż ja temu co winien?

Wtorek, 15-go marca

Wynaleźliśmy ciekawą grę, Clarimonde i ja. bawimy się nią przez cały dzień. Kłaniam się jej i ona natychmiast na mój ukłon odpowiada. Potem bębnię palcami w okno, a zaledwie to widzi, już to samo robi. Daję jej znaki i ona to samo; poruszam ustami, jakbym do niej przemawiał, całkiem to samo widzę u niej. Potem odgarniam ze skroni moje włosy i już widzę jej rękę przy czole. To jest prawdziwie dziecięca zabawa i śmiejemy się z niej. To znaczy — ona właściwie się nie śmieje, jej uśmiech jest cichy i oddany, ale zdaje mi się, że właśnie takim uśmiechem ja sam się śmieję.

Zresztą nie jest to wszystko tak głupie, jak wygląda. To nie proste naśladowanie, bo w tym wypadku jestem przekonany, że ta gra szybkoby się nam znudziła; sądzę, że tu raczej odgrywa rolę przenoszenie myśli. Bo zauważyłem, że Clarimonde naśladuje moje ruchy w czasie, któryby się nawet na najdrobniejszy ułamek sekundy nie dał obliczyć, niema prawie czasu moich ruchów ujrzeć, a już je wykonywa; czasami zdaje mi się, że to się równocześnie dzieje. I to jest, co mną powoduje, by wynaleźć coraz to nowy i niespodziewany ruch, a jest zdumiewające, jak w tej samej chwili ona go automatycznie powtarza. Czasami próbuję ją zwieść. Wykonuję szybko cały szereg najrozmaitszych ruchów; a potem powtarzam te same ruchy wciąż na nowo. Wkońcu robię je po raz czwarty, ale zmieniam porządek ruchów, albo jeden ruch wykonuję inaczej, albo go całkiem opuszczam. Tak jak dzieci bawią się w grę; „Wszystko, co ma pierze, fruwa". Co mnie w największe zdumienie wprawia, to to, że Clarimonde ani jednego razu nie zrobiła fałszywego ruchu, mimo, że je tak szybko zmie-

niałem, iż nie miała nawet czasu je pojedyńczo rozpoznać.

Środa, 16-go marca.

Czyż to nie śmieszne, że mi ani przez głowę nie przeszło oprzeć mój stosunek do Clarimonde na całkiem innym, trochę poważniejszym fundamencie, aniżeli na tej dziecinnej zabawie? Myślałem nad tem ubiegłej nocy. Przecież mógłbym wziąć kapelusz i paletot, zejść dwa piąterka na dół — potem pięć kroków przez ulicę i znowu dwa piętra pod górę. Na drzwiach widnieje mała tabliczka, a na niej napisane: „Clarimonde" — — Clarimonde? Co? Nie wiem co — ale tam wyraźnie stoi Clarimonde. Pukam do drzwi. — — Tak daleko mogę sobie wszystko jak najjaśniej wyobrazić, najmniejszy ruch, który przy tem wszystkiem wykonywam, widzę jak najdokładniej przed sobą. Ale w żaden sposób wyobrazić sobie nie mogę, co dalej nastąpi. Drzwi się otworzą, to jeszcze widzę. Ale stoję w nich jak wryty i patrzę przed siebie w ciemność, która nie pozwala nic, ale to zgoła nic, rozpoznawać. Nie podchodzi — nic nie podchodzi. I nic prócz tej czarnej, nieprzebytej ciemności.

Zdaje mi się czasem, jakoby inna Clarimonde wcale nie istniała prócz tej, którą przy oknie widzę i która się ze mną bawi. Zgoła sobie wystawić nie mogę, jakby ta kobieta wyglądała w kapeluszu, lub też innej sukni, jak ta, którą ma na sobie — czarna z lila plamami; nie mogę jej sobie nawet pomyśleć bez jej czarnych rękawiczek. Gdybym miał ją ujrzeć na ulicy, albo też w jakiejś restauracji jedzącą, pijącą, rozmawiającą — — muszę się nagłos śmiać, tak niemożliwym wydaje mi się ten obraz.

Czasami zapytuję się siebie, czy ją kocham. Nie mam na to pytanie jasnej odpowiedzi, bom

w mojem życiu jeszcze nigdy nie kochał. A jeżeli to uczucie, który względem Clarimonde żywię, jest istotnie miłością, to jest ona całkiem, ale to doszczętnie inna, jak ta, którą zauważyłem u moich kolegów, lub o której w powieściach czytałem.

Jest mi niezmiernie trudno, uczucia moje analizować — wogóle jest mi trudno o czemśkolwiek pomyśleć, coby się nie odnosiło do Clarimonde, a raczej coby nie miało związku z naszą — — — grą. Bo nie da się zaprzeczyć, że właściwie tylko ta gra mnie zajmuje i nic więcej. I to jest właśnie to, czego całkiem pojąć nie mogę.

Clarimonde — — bezwątpienia czuję ku niej skłonność. Ale w to wmieszało się jeszcze inne uczucie — to tak, jakbym się lękał. Lęk to? Nie, to nie jest właściwie lęk, raczej rodzaj wstydu, przeczucie strachu przed czemś, czego nie znam i o czem nie wiem. I właśnie ten lęk ma w sobie coś dziwnie nieprzezwyciężalnego, dziwnie rozkosznego, co mnie od niej oddala, a równocześnie coraz więcej ku niej pociąga. Mam wrażenie, że obiegam, wokół niej, duże koło, to się do niej cokolwiek zbliżam, to znowu się oddalam, biegnę dalej, podbiegam w innem miejscu i w tej chwili szybko odlatuję. Aż wreście — o tem jestem jak najjaśniej przeświadczony — będę musiał ku niej podbiec.

Clarimonde siedzi przy oknie i przędzie. Nici, długie, cienkie, nieskończenie delikatne nitki. Z nich uprzędzie tkaninę, ale nie wiem, co to ma być. I nie jestem w stanie zrozumieć, w jaki sposób tę siatkę sporządzi, a przytem nie poplącze nici i ich nie pozrywa. A w jej delikatniutkiej robocie są przedziwne ornamenty: bajeczne zwierzęta i potworne maski.

Ależ — cóż ja tu wypisuję? Bogiem a prawdą nie mogę wcale widzieć nad czem pracuje i co właściwie przędzie — nazbyt delikatne są nici. A jednak czuję, że jej praca tak wygląda, jak ją widzę — — gdy oczy zamykam. Całkowicie tak samo. Wielka sieć, a w niej mnóstwo stworzeń bajkowe zwierzęta i pokraczne maski.

Czwartek, 17-go marca.

Znajduję się w dziwnem podnieceniu. Już teraz z nikim żadnego słowa nie zamieniam. Nawet pani Dubonnet i hotelowemu służącemu nie odpowiadam prawie na ich „dzieńdobry!" Zaledwie tyle czasu sobie ukradnę, by zjeść; nic mnie nie obchodzi, prócz wysiadywania przy oknie i naszej wspólnej zabawy. A jest to niesłychanie podniecająca i wyczerpująca zabawa — tak! W istocie.

Mam wrażenie, jakoby się jutro coś stać musiało.

Piątek, 18-go marca.

Nie mylę się — dziś musi się coś stać. Mówię do siebie, a mówię podniesionym głosem — jak najgłośniej, by posłyszeć własny głos — że przecież jedynie *dlatego* tu w tym pokoju zamieszkałem.

Ale co mnie przeraża: mam lęk. A lęk ten, że może się ze mną zupełnie to samo stać, co z moimi poprzednikami w tym pokoju, łączy się dziwacznie z lękiem przed Clarimondą. Nie mogę prawie tych lęków od siebie rozłączyć.

Strach mnie przenika — mam ochotę krzyczeć.

6. godzina wieczorem.

Tylko parę słów rzucę, w kapeluszu i paletocie. Gdy wybiła piąta, siły moje się wyczerpały.

Teraz wiem, że to musi stać w jakimś tajemniczym związku z tą szóstą godziną przedostatniego dnia tygodnia — teraz już nie śmieję się na myśl o psikusie którym komisarza okpiłem. Siedziałem w moim fotelu i ze wszystkich sił trzymałem się poręczy. Ale coś mnie ciągnęło, rwało przemocą ku oknu. Musiałem bawić z Clarimonde — a znowu ten przeraźliwy lęk przed oknem. Widziałem ich jak tam wiszą — on wojażer z Szwajcarji, ogromne chłopisko, z grubym karkiem i siwiejącą szczeciną brody — i ten smukły artysta i ten przysadkowaty, silny sierżant. Wszystkich trzech widziałem, kolejno jednego po drugim, a potem ich wszystkich razem na tym samym haku, ze szeroko roztwartemi ustami i głęboko zwisającemi językami. A potem ujrzałem siebie samego między nimi.

O ten straszliwy lęk! Miałem go przed tym nieszczęsnym hakiem na ramie okiennej zarówno jak przed Clarimonde. Niechaj mi wybaczy, ale tak istotnie było: w moim haniebnym przestrachu mieszałem bezustannie jej obraz z tymi trzema, którzy tam wisieli nogami włóczącemi się po podłodze.

Prawdą jest, że ani na chwilę nie uczułem pragnienia, lub tęsknoty, by się obwiesić: nie miałem również obawy, że mógłbym to zrobić. Uchowaj Boże — miałem tylko lęk przed oknem samem i przed Clarimonde — przed czemś straszliwem, niepewnem, co teraz nastąpić musi. Miałem namiętne, nieprzeparte pragnienie, by zerwać się z fotelu i podejść ku oknu. I musiałem to uczynić

I wraz zadzwonił telefon. Wziąłem słuchawkę, ale zaczem zdołałem jakieś słowo posłyszeć, zakrzyknąłem w nią: „Przyjść! Przyjść natychmiast!"

I było to, jakby ten krzyk mojego przeraźliwego głosu był w jednej chwili rozwiał wszystkie

mary i zapędził je w najtajniejsze szpary podłogi W jednej sekundzie ochłonąłem i byłem spokojny. Obtarłem pot z czoła i wypiłem szklankę wody; poczem jąłem się zastanawiać, co powiem komisarzowi, kiedy się zjawi. Wreszcie podszedłem do okna, ukłoniłem się i uśmiechnąłem się.

I Clarimonde odkłoniła się i również się uśmiechnęła.

Pięć minut potem przybiegł komisarz. Odpowiedziałem mu, że wreszcie docieram do tajemniczego jądra tej całej sprawy; ale dziś niechaj mi łaskawie oszczędzi wszelkich pytań: wkrótce będę mógł mu dać zdumiewające wyjaśnienia. Śmieszne było w tem wszystkiem, że właśnie wtedy, gdym go tak bezczelnie okłamywał, byłem jak najzupełniej przeświadczony, że mówię prawdę. I prawie jeszcze teraz mam to samo uczucie — całkiem wbrew mojemu istotnemu przekonaniu.

Naturalnie, że zauważył mój cokolwiek niezwykły stan psychiczny, w jakim się znajdowałem, a zwłaszcza, kiedy starałem się uniewinnić z mego przerażonego krzyku, którym w telefonie wybuchnąłem i próbowałem go w najniewinniejszy sposób wytłumaczyć — — a wkońcu nie znalazłem dostatecznej przyczyny — ale on zapewniał mnie bardzo grzecznie, że nie mam mieć dla niego najmniejszych względów — jest całkiem na moje usługi — to jest jego obowiązkiem. Przyjemniej mu tu fatygować się tuzin razy niepotrzebnie, jakby miał kazać na siebie czekać, gdy zajdzie potrzeba. Potem zaprosił mnie, bym dziś wieczorem wyszedł z nim na miasto — to mnie z pewnością rozerwie — niedobrze jest, abym tak bezustannie sam na sam pozostawał. Przyjąłem jego zaprosze-

nie — chociaż mi to trudno przyszło, niechętnie rozłączam się z tem mieszkaniem.

Sobota, 19-go marca.

Byliśmy w „Gaieté Rochechouart“, w „Cigale“ i w „Lune Rousse“. Komisarz miał słuszność: dobrze mi to zrobiło, żem wreszcie się z mego pokoju wydostał i innego powietrza zaczerpnąłem. Z początku miałem przykre wrażenie, jakbym był coś niedobrego popełnił, jakbym był się stał dezerterem, który opuścił swoją chorągiew. Ale potem wszystko we mnie ucichło; piliśmy dużo, śmieliśmy się i pletliśmy, co nam ślina do ust przyniosła!

Gdym dziś rano przystąpił do okna, zdawało mi się, że widzę w spojrzeniu Clarimonde jakowyś wyrzut. A może sobie to tylko wyimaginowałem: skądżeżby mogła wiedzieć, że mnie tej nocy w domu nie było? Zresztą trwało to tylko chwileczkę, potem znowu się uśmiechnęła.

I cały dzień trwaliśmy w naszej zabawie.

Niedziela, 20-go marca.

Dziś to tylko jedno mogę napisać: przez cały dzień zabawialiśmy się naszą grą.

Poniedziałek, 21-go marca.

Cały dzień ta sama igraszka.

Wtorek, 22-go marca.

To samo i dziś się powtórzyło. Nic, zupełnie nic innego się nie wydarzyło. Nieraz zapytuję się sam siebie — poco właściwie — naco? Albo też: czegoż ja chcę, do czego to prowadzi? Ale nigdy nie daję sobie nato odpowiedzi. Bo to tylko jest

pewnem, że niczego innego sobie nie życzę, jak tylko właśnie tego. I to, cokolwiek jeszcze stać się może, jest właśnie to, za czem tęsknię.

Mówiliśmy ze sobą razem w tych dniach — oczywiście nie głośnemi słowami. Czasami tylko poruszaliśmy wargami, a częściej jeszcze patrzyliśmy na siebie. I doskonale mogliśmy się porozumiewać.

I miałem zupełną rację: Clarimonda robiła mi wyrzuty, żem stchórzył w ostatni piątek. Prosiłem ją zatem o przebaczenie i opowiedziałem jej, że jaknajzupełniej uznaję, iż głupio sobie postąpiłem i ordynarnie. Przebaczyła mi, a ja jej w zamian zato przyrzekłem, że już nigdy od okna nie odstąpię. I całowaliśmy się, i długo, długo przywarliśmy wargami do szyb.

Środa, 23 go marca.

Teraz już wiem, że ją kocham. Tak musiało się stać i jestem cały nią przesiąknięty aż do ostatniego fibru nerwów. Możliwe, że miłość innych ludzi inaczej się przejawia. Ale czyż jest głowa, ucho tylko, lub ręka, którąby z pośród tysięcy miljonów innych jej równą była? Wszystkie się między sobą różnią, a więc każda miłość jest całkiem inna, aniżeli u mego współbliźniego. Dziwaczna jest moja miłość, o tem wiem dobrze. Ale czyżby dlatego miała być mniej piękną?

Prawie, że jestem szczęśliw w mej miłości.

Gdybym tylko tego piekielnego lęku nie odczuwał! Czasem on zasypia i wtedy o nim zapominam. Ale tylko na przeciąg paru minut, a potem się budzi i nie daje mi spokoju.

Wydaje mi się wtedy że jestem małą myszką, która walczy przeciw dużemu, pięknemu wężowi

i chce się wyzwolić z jego piekielnych uścisków. Poczekaj, poczekaj ty mały, głupi lęku — niezadługo pożre cię ta wielka miłość.

Czwartek, 24-go marca.

Zrobiłem jedno odkrycie: nie ja bawię się z Clarimonde — *to ona, która ze mną igra.*

I także to było:

Wczoraj wieczorem myślałem, jak zwykle, o naszej grze. I wtedy zapisałem sobie pięć nowych, bardzo skomplikowanych kolei ruchów, któremi chciałem ją rankiem zaskoczyć, a każdy ruch oznaczyłem numerem. Wyćwiczyłem je przedtem dokładnie, bym je mógł możliwie szybko wykonać w prostym i odwrotnym kierunku. Było to bardzo uciążliwe, ale sprawiało mi dużo przyjemności — zbliżało mnie do Clarimonde, mimo, że jej nie widziałem. Całemi godzinami powtarzałem te ćwiczenia, aż wreszcie odprawiały się jak pacierz.

Zapukano do drzwi, to był służący hotelowy, który mi buty przyniósł. Wziąłem je; a gdym wrócił do okna, padł mój wzrok na kartę papieru, na której zanotowałem sobie kolejkę ruchów. *I wtedy ujrzałem, że ani jednego z tych wszystkich ruchów nie wykonałem.*

Zatoczyłem się prawie, chwyciłem się za poręcz fotelu i ciężko w nim opadłem. Nie chciałem jeszcze uwierzyć i raz jeszcze przeczytałem kartę papieru i wciąż na nowo. Ale nie było najmniejszego wątpienia: odegrałem właśnie przy oknie cały szereg kolei ruchów, ale ani jednego z tych, które sobie zaznaczyłem.

I znowu miałem to wrażenie, że jakieś drzwi roztwierają się szeroko — jej drzwi. Stoję przed

niemi i wszystkiemi siłami wpatruję się wewnątrz — — nic — nic, tylko ta pusta ciemnia

Potem chwila świadomości: jeżeli teraz wyjdę, jestem uratowany, i teraz czułem jak najdokładniej — teraz *mogłem* pójść. A mimo to nie poszedłem. A było to dlatego, że miałem to wyraźne uczucie: jesteś w posiadaniu tajemnicy, trzymasz ją obiema rękoma. — Paryż — zdobędziesz Paryż!

I przez chwilę był Paryż silniejszy od Clarimonde.

— — Ach! ach! Teraz już o tem prawie nie myślę. Teraz odczuwam tylko moją miłość, a w niej ten cichy, rozkoszny, lubieżny lęk.

Ale w tym momencie wzmogły się moje siły. Jeszcze raz przeczytałem moją pierwszą kolej i wbiłem sobie w pamięć każdy ruch. I znowu powróciłem do okna.

I ja zatem, ja, który byłem taki dumny z tego, że miałem wpływ na jej myśli, teraz dokładnie widzę, że całkiem jej wpływowi podlegam. Tylko — ten wpływ jest taki delikatny, taki miękki — niema nic, coby się z rozkoszą tego wpływu porównać dało.

I robiłem jeszcze inne próby. Wsadziłem obydwie ręce do kieszeni i postanowiłem, by ich nie ruszać, wpatrzyłem się w nią nieruchomie. Widziałem jak, podniosła rękę, jak się uśmiechnęła i delikatnie mi wskazującym palcem pogroziła. Nie ruszyłem się. Czułem, jak moja prawa ręka gwałtownie się z kieszeni wyrywała, ale wgrzebałem się silnie palcami w podszewkę kieszeni. Ale zwolna po upływie całych minut rozluźniły się palce — wyciągnąłem rękę z kieszeni, czułem, jak ramię moje się podnosi. Pogroziłem jej palcami uśmiechnąłem się I było to, jakobym to nie był ja, który

to czynił, ale całkiem inny, obcy człowiek, którego śledziłem. Nie — ach! nie! — To tak nie było. To ja, ja sam to zrobiłem, a ktoś obcy mnie podpatrywał. Właśnie ten obcy, który był tak silny i chciał poczynić to wielkie odkrycie. Ale to nie byłem ja.

Ja — a cóż mnie obchodzi jakoweś odkrycie? Tu jestem, aby to czynić, co Clarimonde zechce — ona, którą kocham moim najkosztowniejszym lękiem.

Piątek, 28-go marca.

Przeciąłem drut od telefonu. Nie mam najmniejszej ochoty, by znowu pozwolić głupiemu komisarzowi, aby mi nim właśnie wtedy przeszkadzał, gdy nadejdzie ta dziwna godzina —

Chryste Panie — poco ja to tylko piszę? Ani jednego słowa prawdy w tem wszystkiem nie ma. Zdaje mi się, że ktoś mojem piórem prowadzi.

Ale chcę chcę — chcę to wszystko tu napisać, co się naokół mnie dzieje. Kosztuje mnie to nieskończony wysiłek. Ale chcę to zrobić — jeszcze raz to — — chcę!

Przeciąłem drut od telefonu — — ach! —

Bo musiałem. To napisane! Wreszcie! Bo musiałem, musiałem!

Dziś rano staliśmy przy oknie i bawiliśmy się. Nasza gra stała się od wczoraj inną. Ona robi jakiś ruch, a ja się wzbraniam go powtórzyć, jak długo jestem wstanie. Aż wreszcie muszę ulec i bezwolnie muszę to wykonywać, co ona zechce. A nie umiem tego powiedzieć, jaką cudowną rozkosz mi to sprawia: to pochłonięcie mnie przez jej wolę, to pokonanie mnie przez nią.

Bawiliśmy się. A nagle wstała i cofnęła się w głąb pokoju. Było tak ciemno, że już jej nie wi-

działem; całkiem zdała się być pochłonięta przez ziemię. Ale niezadługo wróciła z powrotem, niosła w obydwóch rękach stołowy telefon, całkiem podobny do mojego. Postawiła go, uśmiechając się, na desce przy oknie, przecięła sznur i zaniosła go zpowrotem.

Może jakiś kwadrans broniłem się z wszystkich sił. Lęk mój był silniejszy, niż kiedykolwiek, ale tem rozkoszniejsze uczucie wolnego poddawania się. I wreszcie przyniosłem mój aparat, przeciąłem sznur i znowu postawiłem go na stole.

I także się stało.

— Siedzę przy moim stole; piłem herbatę — właśnie wyniósł służący hotelowy naczynia. Pytałem się go, która godzina, bo mój zegarek nie dobrze idzie. Piąta piętnaście, powiedział, piąta piętnaście —

Wiem, że gdy teraz oczy podniosę, Clarimonde coś uczyni. Coś takiego zrobi, co i ja będę musiał zrobić.

I istotnie podnoszę oczy. Stoi tam naprzeciw i uśmiecha się. Jezus Marja! — gdybym mógł teraz tylko oczy odwrócić! Teraz podchodzi do firanek. Zdejmuje sznur — całkiem czerwony, tak, jak u mojego okna. Robi pętlicę. Wiesza sznur na haku, wbitym w ramę okienną.

Siada i uśmiecha się.

— Nie! Tego już nie można nazwać lękiem, co teraz odczuwam. To przeraźliwy, duszący strach któregobym jednak za nic w świecie wyzbyć się nie chciał. Jest to gwałt tak niesłychany, a jednak tak dziwnie lubieżny w swem nieuniknionem okrucieństwie.

Mógłbym w tej chwili pobiec i to zrobić co ona chce, bym zrobił. Ale ja czekam, walczę, bro-

nię się. A czuję, jak z każdą minutą staje się silniejsze — coraz silniejsze —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tak więc znowu tutaj siedzę. Podbiegłem szybko do okna i uczyniłem to, co chciała: wziąłem sznur, zrobiłem pętlicę i powiesiłem go na haku.

A teraz już w tę stronę nie spojrzę, wlepię moje oczy w papier. Bo wiem, co uczyni, jeżeli na nią spojrzę — — teraz o szóstej godzinie przedostatniego dnia tygodnia. Jeżeli ją ujrzę to muszę to zrobić, co ona zechce, muszę wtedy — —

Nie chcę na nią spojrzeć — —

Śmieję się — głośno. Nie, nie śmieję się — to jakieś coś się we mnie śmieje. I wiem dlaczego: otóż nad tem: „nie chcę — —“

Nie chcę, a wiem z całą pewnością, że muszę. Muszę na nią spojrzeć, muszę, muszę, to zrobić — — a potem — — to resztę — —

Czekam tylko, by przedłużyć te męczarnie — o to mi właśnie chodzi. Te męczarnie bez możności wydania tchu, które są najrozkoszniejszą lubieżą. Piszę szybko, coraz szybciej, by móc tylko tu dłużej siedzieć, przedłużać te sekundy cierpień, które rozkosze mojej miłości w nieskończoność potęgują.

Jeszcze więcej — jeszcze dłużej — —

I znowu ten piekielny lęk, znowu ten lęk! Wiem, wiem, że na nią spojrzę, dźwignę się z fotelu i powieszę się: *ale nie przed tem mam lęk* — Ach, nie,! to pięknem mi się wydaje i zabawnem.

Ale coś, jakieś niepojęte coś jeszcze istnieje, *które potem przyjdzie*. Nie wiem, co to będzie — ale przyjdzie — całą pewnością, z całą nieuniknioną pewnością przyjdzie. Bo szczęście moich męczarń jest tak nieszkończenie wielkie — czuję, czuję, że

musi się w coś niesłychanie straszliwego przeobrazić.

Tylko nie myśleć!

Pisać byle co, byle jak, wszystko jedno byle — cośkolwiek bądź — szybko — szybciej jeszcze, tylko bez namysłu —

A więc moje nazwisko — Ryszard Bracquemont, Ryszard Bracquemont — Ryszard — och! już dłużej nie mogę — Ryszard Bracquemont — Bracquemont — muszę! muszę! nie! nie! jeszcze dalej — Ryszard — Ryszard Bracquemont — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

*

* *

Ponieważ komisarz IX. obwodu nie otrzymał na kilkakrotne telefoniczne wołania żadnej odpowiedzi, więc udał się pięć minut po szóstej wieczorem do hotelu Stevens. I w pokoju pod Nr. 7. znalazł trupa studenta Ryszarda Bracquemontu dokładnie w tem samem położeniu, w jakim odnaleziono trzech jego poprzedników.

Tylko wyraz twarzy był inny; cała była straszliwym skurczem lęku wykrzywiona, a oczy, szeroko rozwarte, wyrywały się z orbit. Wargi się wyciągnęły, a zęby były silnie w siebie wcięte.

A między nimi, zgryziony, doszczętnie zmiażdżony tkwił czarny pająk, pokryty dziwnemi fioletowemi plamami.— Na stole leżał dziennik studenta medycyny. Komisarz przeczytał go i udał się natychmiast do przeciwległego domu. Skonstatował, że już od miesięcy, drugie piętro nie było zamieszkałe i całkiem próżne stało — —

„TO INNE JA“.

ŚMIERĆ BARONA JEZUS MARJA VON FRIEDEL.

I bogowie wysłuchali prośby nimfy Salmacit: ciało jej stało się ciałem jej kochanka, pięknego syna Hermesa i Afrodyty.
Aristobulos.

Rodzaj męski słońce stworzyło, ze ziemi zaś porodziła się niewiasta. Księżyc atoli, który z obydwóch powstał, stworzył trzeci rodzaj, dziwny rzadki, niezwykły...
Eryximachos.

Nie, nie, to całkiem nieprawda, że baron Jezus Marja von Friedel popełnił samobójstwo. Rzecz ma się właściwie tak, że on zabił *ją* — baronową Jezus Marja von Friedel, albo też odwrotnie, że ona zabiła jego — tego już nie wiem. To jedno tylko wiem, że o jakiemś samobójstwie mowy być nie może.

Znam jego życie zbyt dobrze, często go spotykałem we wszystkich możliwych krajach; w międzyczasie słyszałem o nim od znajomych. O szczegółach jego śmierci niewiem wprawdzie nic więcej, aniżeli inni: to tylko, co wyczytałem w gazetach, i co mi jego administrator poświadczył.

Otóż tu moje dane: W jesieni 1888 jeździł baron Friedel, młodziutki oficer w pułku żółtych

dragonów, na wyścigach. Było to w Gracu. Przypominam sobie doskonale, jak był zeń dumny stryj jego, rotmistrz regimentu, gdy przez wstęgę przelatywał. „Patrzcież tylko, co za wspaniały junak! A byłby dziś starą babą bezemnie!“ Potem opowiadał nam, w jakim opłakanym stanie go znalazł, zaledwie rok temu u swej siosty, starej panny w Morawji.

Tam — na zamku Aibling wychowywały osieroconego chłopca jedna stara i dwie młodsze ciotki. „Trzy powarjowane baby!“ śmiał się rotmistrz. A jego ochmistrz, to było to czwarte! Taki sobie poeta, który opiewał duszę kobiety i w każdej wywłoce dopatrywał się świętej. Ale nie chcę go krzywdzić, przyznaję, że wpoił w chłopaka całą swoją uczoność: ten wiedział więcej, gdy miał piętnaście lat, aniżeli cały nasz regiment, wliczając już w to wszystkich panów doktorów. Ale gdyby to były tylko jedyne przedmioty jego wiedzy! Skóra się wstrząsa na myśl o tych innych — nauczyły go te głupie baby i robót włóczkowych, szydełkowania, haftowania i tym podobnych rzeczy, i zrobiły z niego wzorowego mamuchny synalka jak z marcepanu, że się źle robiło, gdy się na niego patrzyło — jakby się człowiek syropowo-słodkiego mleka migdałowego napił!

Był to piekielny pięciogłosowy kanon wycia, gdym go stamtąd wydobył! O mały włos nie byłbym był tego zrobił, tak nędznie i rozlaźle chłopak się zachował; i tylko ze względu na pamięć o mym bracie nie dałem się wzruszyć. Ale, trzeba wam wiedzieć, że nie miałem najmniejszej nadziei, by mi się udało zrobić z tej koronkowej koszulki

mężczyznę! A dziś — cóż u djabła? Czy macie między żółtymi dzielniejszego oficera?"

I z dowcipkującą brawurą opowiadał rotmistrz o postępach swojego siostrzeńca. Jak tęgą miał głowę — tęższą nawet od niego samego, w piciu stanowczo go przewyższał — a przecież niedawno porządnie pokiereszował w pojedynku pierwszego fechmistrza Teutonów. A przecież ten się fechtował, jak nikt inny w całym Gracu, — w rękach jego gięła się klinga, gdyby szpicruta. No, a co do konia — tośmy przecież na własne oczy przed chwilą widzieli. No, a podwiki! Och, święta Barbaro! Tak jeszcze żaden oficer kawalerji po obu stronach Litawy nie debjutował. Trzy dorodne córuchny miała jego gospodyni, u której mieszkał, gdy uczęszczał do akademji wojennej. A teraz wszystkie trzy oczekują rozkoszy macierzyńskich. Chętnie będzie płacił alimenty. — Cóż to za junacka, dziarska bestja — ten jego siostrzeniec Jezus Marja!

— — Potem spotkałem go pięć lat później w Kołomyi, właśnie w tem pięknem mieście. Był wtedy razem z * * * nazwiska jej wymienić nie chcę, do dziś dnia jeździ po całym świecie i wszystkie prowincjonalne pisemka rozpływają się w zachwytach nad jego klasyczną Medeą. Ale wtedy nazwisko jej dźwięczało jak złoto w Hofburgteatrze; tem więcej zastanawiała ta dziwna podróż artystyczna po najnędzniejszych dziurach Galicji i Huculszczyzny. Oczywiście, że poszedłem na ten dziwny wieczór deklamacyjny; „tragiczna" zaskoczyła nas Demetrjuszem Schillera, a baron Friedel deklamował nieśmiało swoje miłe uszy łaskoczące, perfumowane wierszyki. Oklaskiwałem zapamiętale, mieszkańcy Kołomyi uważali mnie za auto-

rytet, bo miałem smoking na sobie — więc cały wieczór był jednym triumfem. Potem jadłem z nimi kolację; było jak najwidoczniejsze, że ich tournée było rodzajem podróży poślubnej. Niezwykłej w najwyższym stopniu, bo baron właśnie teraz, gdy wziął dymisję, otrzymał od swoich ciotek bardzo pokaźny czek — „tragiczna“ zaś nic innego nigdy nie robiła, jak tylko to, że wyrzucała pełnemi garściami pieniądze, których mnóstwo swoją drogą zarabiała, wprost za okno. I pocóż u djabła ta zdumiewająca podróż właśnie przez te całkiem zapadłe zakątki świata? Ale to nie była tylko ta jedna zagadka. Cały świat wie, że *** przez całe swe życie nienawidziła mężczyzn; przecież każdy jeszcze przypomina sobie ten słynny skandal, gdy przez noc wykradła piękną hrabiankę Schöndorf. Było to dwa lata przed tym wieczorem; krótko potem spoliczkowała na próbie intendanta teatru, który żądał od niej wyjaśnień co do jej natarczywej nahalności względem jego żony. Nigdy przedtem, ani potem nie słyszano, aby słynna Medea miała jakiegoś Jazona — ale teraz widziałem na własne oczy, jak baronowi ponad talerzami ręce całowała. Myślałem, że to alkohol ich ze sobą sprzągł — przecież na Grabenie opowiadano sobie tysiące pikantnych anegdot o owej heroinie z nielada jakim spustem. I dziś się całkiem nie żenowała, przed zupą wlała w siebie porządny kielich konjaku, z jakiego się wino pije. Ale on nawet ust w kieliszku nie zamoczył; stał się nieubłaganym abstynentem. Coby to wszystko mogło być? Dziś rozumiem zagadkę tego dziwnego stosunku, ale wtedy w żaden sposób wytłumaczyć go sobie nie mogłem.

Później odbywał baron Friedel częste podróże Spotykałem go raz po raz, ale zawsze tylko przelotnie. Wiem z całą pewnością, że towarzyszył Amundsenowi w jego podbiegunowej podróży, że brał udział w wojnie Burów jako adjutant pułkownika de Villebois-Marenil, był zraniony pod Mefeking i wzięty w niewolę przez Anglików pod Hartbeestfontain. W międzyczasie ukazał się tom jego poezji i bardzo ciekawa praca o Theotocopulosie : owoc jego podróży po Hiszpanii. To mnie tem więcej zaciekawiało, o ile, że zawsze podpadało mi dziwne podobieństwo barona to tych dziwacznie powykrzywianych portretów tego malarza, którego współcześni „El Greco“ nazywali I w rzeczy samej był Jezus Marja von Friedel jedynym człowiekiem, wobec którego nigdy się nie było można wyzbyć wrażenia czegoś srebrnego i czarnego.

Potem znowu natknąłem się na niego w Berlinie na posiedzeniu naukowo-humanitarnego komitetu. Siedział naprzeciw mnie, pomiędzy panią Inez Seckel i komisarzem policji, panem von Treskow Teraz pił już znowu i palił, zresztą słuchał z widocznem zainteresowaniem przemów i odczytów. Było to w onym czasie, kiedy ostre rozdzielenie dr. Hirschfelda między hetero- i homoseksualnemi indywiduami ogólnie przyjmować się poczęło, kiedy już wierzono, że czysto naukowe pytanie w swej istocie całkiem rozwiązane zostało i chciano wreszcie wyciągać praktyczne konsekwencje. Mówiliśmy ze sobą mało, ale przypominam sobie, jak mi mówił, gdy nam podano paltoty w garderobie: „Ci panowie wyobrażają sobie całą sprawę, jako coś nieskończenie prostego Ale wierz mi pan,

bywają wypadki, wobec których całkiem inną tabliczkę mnożenia zastosować trzeba".

Wiem dalej, że Friedel przebywał jakiś czas u tej osławionej pani, którą Strindberg tak pogardliwie „Hanna Paj" nazwał i zarzuca jej w swojem marnem filisterstwie ultra-moralnego pastora wiejskiego, z nadętem świętoszkostwem te same upodobania, o które klasyczną Medeę posądzano. I w tym wypadku trzeba odwiedziny barona uważać za bardzo ciekawe intermezzo dla obu stron, którego tak łatwo nie możnaby wszufladkować w ramy wygodnej normy. Niezadługo potem został baron zawikłany w jakąś skandaliczną wiedeńską sprawę, którą atoli szybko już w zarodku zduszono i o której zaledwie coś nic coś w pismach przebąkiwano. Wiem o tem wszystkiem tyle, co nic, tom się tylko dowiedział, że jego krewni odmówili mu nagle z dziś na jutro wszelkiej zapomogi, że sprzedał za bezcen wszystko, co miał i wywędrował do Ameryki.

Parę lat później posłyszałem przypadkowo jego nazwisko w redakcji niemieckiego pisma „La Plata" w Buenos-Aires. Zapytałem się o niego i dowiedziałem się, że baron Friedel był przez pół roku czynny jako zecer przy gazecie, kiedy już przedtem fungował jako majordomus w estancji jakiegoś Niemca. Ostatnio widziano go jako forszpana w Rosario; ale podobno już się stamtąd ulotnił i odbywa włóczęgę w Paraguay.

I w tym kraju znowu go spotkałem, co prawda w nadzwyczajnych okolicznościach. Koniecznem jest atoli, że powiem nasamprzód parę słów o tych osobnikach, którzy Paraguay nazywają „ziemią obiecaną". To strasznie komiczne towarzystwo, już dlatego samego warte, by kiedyś

o niem powieść napisać. Raz wywędrował tam jeden z tych, którym było za ciasno w ojczyźnie, a który najchętniejby wszystkich żydów żywcem był pożarł i był przekonany, że cały świat uratuje, jeżeli ze wszystkich sił będzie wrzeszczał: „Heilo“. A miał-ci on czerwoną brodę i rude włosy, a jego wielkie, niebieskie oczy wytryskiwały w świat słoneczne promienie — żaden człowiek nigdy w mem życiu nie był mi tak sympatyczny, jak doktor Förster, powiedział raz mój przyjaciel, adwokat Philippsohn. W tem miał słuszność: trzeba było go pokochać z jego szczęśliwą wiarą w wszystkie możliwe ideały i z jego dobrotliwą, orzeźwiającą głupotą serca, nikogo więcej, jak właśnie jego z tych wszystkich, którzy wyruszyli na poszukiwania łąk Utopji — gdzieś tam w szerokim świecie. A z nim razem wyruszyła pani Elżbieta, sucha jego małżonka, o szerokim zakroju „niebieskiej pończochy“. Ta wróciła zpowrotem, gdy już nie jeden rok się odwrócił, a teraz ryje kretowiny w pozostałych papierach po swoim wielkim bracie, odgrywa rolę opuszczonej Pytji i wprawia poczciwych burżujów w pokorny podziw wielkim słowem: „mój brat!“ Ale ten już dawno umarł, a nie ma nikogo, ktoby zdołał nieszczęsnego brata ratować przed miłością kochającej siostry. Jeszcze dziś wyzywają na nią tam w Paraguay; ależ to ludzie niewykształceni i nie mają najmniejszego respektu przed kapłanką, która stoi na straży świątnicy w Wejmarze. A opowiadają o niej historje — —

I o nim dużo opowiadają, o jej mężu, czerwono-blond Försterze. I wtedy trzeba się nieraz uśmiać, ale nawpół załzawionemi oczyma, jakiemi człowiek się śmieje w tragikomedji. Ach, ta duszna

nędza! Tyle szczerego zapału, tyle gorącego uniesienia, zawsze również głupiego i pięknego, gdy jest bezwzględnie szczere; tyle odwagi i pracy i dziecinnego nieporozumienia. Nowe Niemcy w ziemi obiecanej, wolne, potężne, wspaniałe — och! Jak gorąco biło bogate serce tego człowieka! A potem doszczętny upadek, ruina, a w końcu kulka rewolwerowa.

On był przywódcą. Ale przed nim, z nim razem i po nim wyruszyło już tylu innych: hrabiowie i baronowie, szlachcice. oficerowie i junkrzy; dziwne towarzystwo: ludzie, dla których młode Niemcy były za szerokie, a teraz pragnęli odnaleźć swój maleńki, ciasny światek... tu, w Ameryce. Spotkałem rotmistrza huzarów nad rzeką Tebicuary, kopiącego studnię. Obok niego stał jego przyjaciel, kirasjer, ten kierował pracą. Ani jeden, ani drugi nie mieli najmniejszego pojęcia o kopaniu studni, bawili się jak chłopcy, którzy ziemię całą chcieliby świdrem przewiercić. Raz znowu wszedłem do sklepu: „Proszę o konjak". Ale hrabia meklemburski nie ruszył się z miejsca, cały pogrążony w czytaniu odwiecznie starego numeru: „Reichsboten". „Dajże mi Pan wreszcie kieliszek konjaku!" Ani nie drgnął. „Do stu piorunów — chcę mieć kieliszek konjaku!" Teraz wreszcie, znudzony mają natarczywością, raczył wreszcie wycedzić: „To niech go sobie Pan naleje — tam stoi butla". Bajeczni ci ludzie ze zamierzchłej, martwej przeszłości tu w głębi dziewiczego lasu. Jak mogą, tak się żywią z resztek kapitału, który jeszcze uratować zdołali, przebijają się z krwawym trudem przez życie uprawą roli i hodowlą bydła, jak dzieci stoją bezradni wobec tego, czego życie od nich

wymaga — tam za wielką wodą. I śmiać się z nich trzeba, ale wpół mokremi oczyma.

A we wszystkich tych krajach jest się gościnnie podejmowanym. Czy się przyjdzie do Francuza, Niemca, Anglika lub Włocha, każdy się cieszy, że może obcego na swojej samotnej farmie gościć. Co najlepszego, to właśnie dla gościa zbyt mało jeszcze wyszukanem, a całkiem nieznany człowiek staje się w każdej *estancji* — panem. Byle tylko jak najdłużej zatrzymać się raczył — najchętniejby go wcale za próg nie wypuszczono. I u niemieckiej arystokracji można oczywiście zamieszkać — ale tu rzecz ma się naturalnie cokolwiek inaczej, boć to już przecież bez porównania coś daleko „lepszego". Jest to wielkim zaszczytem, jeżeli zostanie się przez nich przyjętym, ale ich nie zaszczyca się swojem przybyciem. Ugoszczenie jest wtedy bardzo nędzne — a w końcu trzeba za nie bardzo słono płacić. Ale domu swego nie nazywają hotelem — niech Bóg broni — pfe! jak nieprzyzwoicie! Pensjonatem się to nazywa, a każda baronowa może utrzymywać pensjonat. Pan domu oczywiście o nic się nie troszczy, nawet butów swojemu gościowi nie czyści. Tylko pieniądze bierze. Prawie każdy ma pensjonat, a co dziesięć lat pokaże się jakiś obcy, Bogu ducha winny.

Mieszkałem więc w takim pensjonacie u hrabiny Melanji. Jaką ona była, możecie sobie łatwo wystawić: zajrzyjcie tylko rychłym rankiem do „Tiergartenu", co chwilę zajedzie wam drogę jedna z tych amazonek. Na głowie obrzydliwy, mały cylinder, a wynalazca tej czarnej sukni do konnej jazdy, w którą jest ubrana, był bezwątpienia najzacieklejszy wróg kobiet, jakiego świat wydał. Jest zawsze jasną blondynką, koścista i sucha, jak

szczypa: prawdziwy wzór oficerskiej żony. Gdy się jedną z nich poznało, trzeba się im wszystkim kłaniać, bo nie sposób jedną odróżnić od drugiej i nigdy się nie wie, czy to ta właśnie moja znajoma, czy też któraś inna. Tak więc nie wiedziałem dokładnie, czy już nie miałem przedtem tego zaszczytu; ale ona to lepiej wiedziała, istotnie nie miałem go jeszcze dotychczas.

Chciała, by ją liczyć na lat 35, a przecież już co najmniej ćwierć wieku tu spędziła. Była bardzo bogata i mogłaby żyć bardzo dobrze — ale żyła skąpo i źle. Prowadziła gospodarstwo, tak, jak je ojciec jej prowadził, kłóciła się z peonami i uwijała się na koniu — w czarnej sukni i na damskiem siodle — to było jedyne, co u niej kobiecością trąciło. Kiedy wydawała rozkazy, to brzmiało to tak, jakby pruski rotmistrz piorunował; ostro i głośno, tak, że się po wszystkich pokojach rozlegało; zawołała: „Marie!“ I Marie przyszła, a tym razem nie myliłem się, już ją dawniej znałem: to nie był nikt inny, jak Jezus Marja von Friedel. Miał na sobie czarną suknię do konnej jazdy, całkiem taką samą, jak hrabina i podprowadził właśnie pod moje okno wierzchowce. Hrabina pochwyciła cugle i podstawiła mu rękę z galanterją. Oparł się o nią i wskoczył na siodło — rozumie się: damskie siodło. Wtedy i ona wskoczyła na konia i oboje popędzili w las.

Hrabina Melanja była zatem następczynią Medei i sztokholmskiej reformatorki. Jeżeli pierwsza była komedjantką, druga belfrem — ta trzecia była lejtnantem. I bezwątpienia więcej mężczyzną w tym sensie, o ile jest nim więcej żołnierz od kandydata św. teologji i młodzieńczy bohater. I naodwrót stał się baron Friedel w równej mie-

rze o tyle więcej saniiczką; chodził tu zawsze w kobiecych sukniach i uważano go powszechnie za pokojową hrabiny.

Tego samego dnia nie widziałem go już więcej, ale następnego poranku spotkałem go na werandzie. Poznał mnie natychmiast skinąłem mu głową. W tej samej chwili odwrócił się i wybiegł. Ale za jakiejś pół godziny wszedł do mego pokoju — w ubraniu męskiem. „Czy pan zamierza tu długo pozostać?“ zapytał mnie. Odpowiedziałem, że nie mam wogóle żadnych planów, i mogę równie dobrze dziś wyjechać, jak po tygodniach. Wtedy mnie prosił, by się mógł do mnie przyłączyć, a byłoby mu najmilej, gdybyśmy natychmiast wyjechać mogli. Uniewinniałem się, że moje przybycie tu dotąd jest czystym przypadkiem i że nie chcę mu bynajmniej przeszkadzać w jego Tusculum u tej amazonki. Niech tylko tu w spokoju pozostanie, ja pojadę sam, bo widocznie obecność moja jest mu nieprzyjemna.

Wtedy odpowiedział: „O nie! nie! To nie jest to! Ale teraz stałem się znowu inny. Muszę koniecznie stąd wyjechać i to bezwarunkowo dziś jeszcze. Jednej godziny nie mogę dłużej tu pozostać“.

Potem pozostaliśmy razem prawie przez pół roku. Polowaliśmy w Chaco i z całą chętną gotowością przyznaję, że baron Friedel był lepszym jeźdźcem ode mnie i daleko lepszym myśliwym. Nieraz miewaliśmy bardzo niebezpieczne przygody, a to jedynie dlatego, że żadnego dziewczęcia indjańskiego nie pozostawił w spokoju, które jako tako europejskim wymogom odpowiadało. Jedną obwoził całemi dniami, mając ją przed sobą na siodle. W Assunucion oczekiwała go w niemieckim

konsulacie szczęśliwa wiadomość. Jedna z jego ciotek umarła i odziedziczył po niej bardzo pokażny majątek. Pojechaliśmy razem do Europy; w Boulogne byłem szczęśliw, gdym widział, jak opuszczał parowiec: podczas podróży zachowywał się na statku wprost niesłychanie. Grał w karty całemi dniami, pił na umor i wyprawiał bezustannie dzikie brewerje, dopóki nie zasnął w sali do palenia. Przy wspólnym stole stewardów ulegano chętnie jego natarczywemu werbowaniu — ale raz poskarżyło się parę dziewcząt z pokładu, które zbyt nahalnie i ordynarnie prześladował, przed kapitanem okrętu — a wtedy powstała brzydka chryja, a w następstwie bardzo przykre obmowy i plotki. A jednak mimo to wszystko znalazł sposobność, by jednemu kupcowi, który z nami jechał, uwieść jego młodą żonę podczas jednej wycieczki na Maderze; a robił to tak bezczelnie i tak widocznie, że dziś jeszcze pojąć nie mogę, iż tego nikt inny, prócz mnie, nie zauważył. Miałem zawsze to wrażenie, że wszystko, co czynił, pochodziło z nieprzezwyciężalnego musu, z gwałtownego żarzącego się pragnienia, by sobie samemu, wciąż na nowo swej męskości dowieść. A muszę przyznać, że dowód ten udał mu się nadspodziewanie dobrze.

To było rok przed jego śmiercią. Kula trafiła go na zamku Aibling, dokąd się schronił zaraz, jak tylko do Europy powrócił. Żył tam, odcięty od wszelkiego towarzyskiego życia, odosobniony w całem tego słowa znaczeniu, dozwałał do siebie tylko starym sługom przystępować, wyjeżdżał niekiedy konno w bukowe lasy, a najgłówniejszą część swego czasu przesiadywał w zamkowej bibljotece. To wszystko wiem od Józefa Kochfisza, jego ad-

ministratora dóbr, który też pozostawił mi na parę tygodni zapiski swego pana do mego użytku. Piszę wyraźnie: zapiski to jedyne słowo, któremby można określić w przybliżeniu tę dziwaczną pisaninę. Widocznie miał baron pierwotnie zamiar pisania w tej czarno oprawionej książce swoich pamiętników, ale wkrótce zastąpił pamiętnik rodzaj dziennika, który znowu po kilku stronicach ustępował miejsca literackim szkicom, wierszom i wszelakiego rodzaju dziwacznym rozmyślaniom. To znowu splątywało się wszystko w pogmatwany chaos. Inna jeszcze właściwość tej grubej książki była ta, że była pisaną dwojakim charakterem pisma. Rozpoczynała się męskim, ostrem pismem barona, które dobrze znałem, i to pismo dominowało na pierwszych czterech tuzinach stronnic. Tu nagle ujrzałeś na następnej stronicy delikatne, wypieszczone pismo kobiece, i tym charakterem pisma były pisane jakie dwadzieścia stronic; teraz znowu występowało męskie pismo, o silnym, ostrym charakterze, by niezadługo ustąpić miejsca pismu kobiecemu. A im dłużej się karty przerzucało, tem częściej natrafiało się na te odmiany pisma — w końcu tak się obydwa ze sobą złączyły, że często można było w jednem i tem samem zdaniu obydwa odnaleźć. Co do treści, to mogło stwierdzić że wszystkie wiersze — z wyjątkiem dwóch — dalej doskonale odczute „essai“ o muzykalności w sztuce Ludwika Hofmana, jako też parę świetnych tłumaczeń Alfreda de Vigny było pisanych wyłącznie pismem kobiecem — przeciwnie wykazywały, prócz kilku innych, pismo barona następujące rzeczy: cały szereg opisów epizodów z wojny Burów, bardzo szczegółowa, głęboko wnikająca, prawie matematycznie przenikliwa rozprawa o wpły-

wie Amadeusza Hofmanna na Francuzów XIX. wieku, dalej krytyka wierszy Walt Whitmena, którym odmawiał wszelakiej, choćby najmniejszej wartości, a wreszcie długie, obszerne i szeroko założone studjum o grze w szachy, które wnikało w najdrobniejsze szczególiki i w którem polecał nową warjantę otwarcia gry Ruy Lopera.

Może zdoła jeden z jego wierszy, pisany charakterem pisma barona — ten drugi była taka sobie prosta pieśń pijacka — dać jakieś wyjaśnienie i dlatego daję go tu poniżej

W tem wszystkiem wydaje mi się pewnikiem, że napis tego wiersza położony został jedynie na wspomnienie o Roussaeu'ie. Jakiejśkolwiek podstawy do twierdzenia, czy treść tego wiersza została zaczerpniętą z jakiegoś osobistego przeżycia, czy też to wszystko nie ma być raczej li tylko symbolem, nie posiadam: myślowa koncepcja atoli jako taka pozwala jednakowoż dość głęboko zaglądnąć w duszę twórcy, stwierdza dokładnie obraz płciowy ustroju duszy barona, jaki sobie według wszystkich danych, jakie mi były z jego życia znane, wyobrażałem. Obraz ten może się zresztą wydawać bardzo cudaczny, nie jest atoli tak dziwny, jakby to na pierwszy rzut oka przedstawiać się mogło.

Przedewszystkiem było to życie płciowe barona całkiem tak niezwykłe — mimo, że i w tej bardzo ostro nakreślonej formie, zainteresować mogło, i wcale nie było tak wyodrębnione od zwykłych jego przejawów u innych. Mógłbym nawet przeciwnie twierdzić, że jeszcze nie poznałem takiego indywiduum, zwłaszcza między artystami, któreby w najgłębszem swem psychicznem założeniu „jednopłciowem“ mogłoby być nazwane. Męskość nasza — à la bonheur — ale to zupełnie

nie przeszkadza temu, że wciąż i zawsze przedziera się w nas element kobiecy — na nasze szczęście — powstałaby w naszej duszy wielka luka, gdyby miało być inaczej. A i ten drugi moment, który u barona w tak krańcowej formie się przejawiał, to homoseksualne uczucie tej niewieściej części jego duszy, wydaje mi się niezwykłem, ale tylko przy bardzo powierzchownem wniknięciu w sprawę — w rzeczy samej jest to uczucie, które trzeba uważać za całkiem zwykłe i normalne. Bo jeżeli w całkiem męskiem ciele, z bezwarunkowo męskiem założeniem płciowem, zamieszkała dusza — używam tego słowa jako obrazu, by się łatwiej i szybciej móc porozumieć — która w pewnych warunkach się jako kobiecą odczuwa, to to uczucie nie będzie jednak w ogólności na tyle silne, by zerwać wszystkie szranki, jakie z natury rzeczy stoją na przeszkodzie, by się do mężczyzny zbliżyć. Tendencja zatem instynktu pozostanie i teraz, jak i przódy, skierowana ku kobiecie, a jeżeli wobec tejże, dusza ta również się kobiecą odczuwa, to mamy tu mimo wszystko tylko wrzekome homoseksualne uczucie: w istocie samej pozostaje pierwotna męska tęsknota ku kobiecie, która sobie tylko — w jej właściwem poczuciu swej kobiecości — pożycza maski homoseksualnej. W interesującym tu nas wypadku barona Friedla nie widzę nic więcej nad niezwykle ostro i silnie rozwinięty, typiczny przykład fenomenu, który często już zauważyłem, wprawdzie nie w tak w oczy podpadającej formie. Jako sprawdzian moich spostrzeżeń mógłby posłużyć fakt, że przy tej metamorfozie duszy płciowej wybiera się w tej grze taką partnerkę, która ze swej znowu strony wykazuje mniej lub więcej elementów męskiego

uczucia — a więc w tym wypadku mojego przyjaciela zdecydowane Lesbijki. O jednej z tych pań mogę z całą pewnością twierdzić — nie popełniam tu żadnej niedyskrecji, bo otrzymałem od niej na to wyraźnie jej pozwolenie — że nie utrzymywała nigdy w swojem awanturniczem życiu jakichśkolwiek stosunków z mężczyznami, z wyjątkiem tego jednego właśnie z baronem. Wprawdzie możnaby też w tym nagłym wybuchu uczuć ku mężczyźnie u tych kobiet, które zwykle mężczyzną gardzą, przypuszczać jakąś reakcję, którą nagle ujawnia zawsze gdzieś w najgłębszem ukryciu drzemiące uczucie kobiece, albo też podejrzewać, że te kobiety w kobieco-odczuwającym mężczyźnie wietrzą w gruncie rzeczy tylko kobiecość — ale prawdopodobnie zlewa się w istocie jedno z drugiem. Ale jakkolwiek te rzeczy się mają, jest ta cała miłość, która mi odwieczną bajkę Platona o trzech rodzajach ludzkich w przedwieczu w całkiem nowem świetle ukazuje, w tych formach, w jakich się objawia czemś śmiesznie karykaturalnem. Dla przeciętnego zjadacza chleba nic nie ma naturalniejszego na całym Bożym świecie: miłość między kobietą a mężczyzną; ale ta miłość okazuje się jednakowoż przy bliższem rozpatrzeniu czemś niezmiernie skomplikowanem: miłość mężczyzny, który się czuje kobietą i jako taka nie kocha mężczyzny, ale kobietę — i to kobietę, która znowu ze swej strony odczuwa się jako mężczyzna, a przecież nie kocha kobiety, tylko mężczyznę! A jednakowoż ten zawikłany problemat rozwiązuje się w najgłębszej swej istocie w całkiem naturalny sposób: całkiem normalne uczucie z jednej i z drugiej strony, w którem tylko w nieznacznej mierze odgrywa rolę motyw perwersji

Ale z tem wszystkiem nie zdołałaby mnie historja barona Friedla głębiej zainteresować, aczkolwiek nie przeczę, że sama w sobie jest wspaniałym materjałem dla psychologji płci, gdyby się nie były znalazły w jego zapiskach miejsca, które mnie w tem upewniły, że rozłam jego duszy na męski i żeński agens przekraczało daleko granice tego, cośmy dotychczas wytłumaczyć sobie usiłowali. Miejsca te odnalazłem prawie wszystkie przy końcu książki, wykazują przeważnie pismo barona, tu i ówdzie raz po raz i **pismo kobiece**. Jest koniecznem, bym je dał w ich bliższym związku, chociaż aż zbyt często nie wyrastają organicznie, ale tkwią, gdyby śliwki w cieście. Na uwagę zasługuje i ta okoliczność, że z całej ostatniej części tych zapisków wyłania się jakaś niezwykła fantastyczność, która robiła na mnie wrażenie — nie umiem powiedzieć dlaczego — jakoby była się zrodziła z dziwnej rozterki wrogich sobie instynktów płciowych. A może to jest właśnie co niejedno w tych miejscach ukazuje w artystycznym blasku, podczas gdy baron — ten, którego znałem — przy całem swojem głębokiem uczuciu i wnikliwem zrozumieniu sztuki nigdy granic **dyletantyzmu** nie przekroczył.

* * *

Str. 884. Pismo barona.

Szare lądowe kraby biegły po ziemi — teraz, kiedy wieczór zapadał. Nieskończona ich ilość, było to, jakby skorupa ziemi ożyła; wszędzie naokół słychać było szum tych wstrętnych zwierząt. I we wszystkich wielkościach mogłeś je ujrzeć: małe, nie większe od paznokcia u mojej ręki, mniejsze

jeszcze z zaledwie dostrzegalnemi rudymentami nożyc — to znowu tak wielkie, jak talerz. Kraby-kiwacze, potwornie wielkie; kraby-pająki, woło chałe i z oczyma, jakby były na prętach osadzone, jadowite, szczeciną - porosłe kraby, wydłużone, jak potężne pluskwy. Wszędzie naokół była ziemia, jakby podziurawiona, a ze wszystkich dziur i szczelin wypełzywały coraz to nowe zastępy tego robactwa plugawego. Nie mogłem dalej ujechać, musiałem zsiąść z siodła, wziąłem moją klacz za uździenicę: ostrożnie szukała sobie drogi.

Coraz więcej krabów wypełzywało z ziemi, coraz więcej. A wszystkie wędrowały w jednym kierunku, wślad za słońcem ku zachodowi. Żaden z nich nie zboczył ani na prawo, ani na lewo, jakby wzdłuż wyciągniętego sznura szły te ośmionożne skorupowce. Wiedziałem dobrze, dlaczego tak biegną: tam gdzieś na zachodzie musiała gnić padlina, którą sępy teraz, gdy już wieczór zapadał, opuściły. Albo też — i to było najprawdopodobniejsze — biegły na cmentarz San Ignacio: dziś rano pochowano tam trzech peonów, którzy zmarli zaledwie przed godziną na bagnistą febrę. Jeszcze ich wczoraj widziałem, wszystkich trzech, pijani awanturowali się przed szynkiem gnachów. A jutro już, zaczem słońce zejdzie, będą bielieć ich kości w rozkretowanej ziemi — to, co w nich widziałem, będzie już na miljonowe cząstki rozdzielone w miljonach żołądków tych szarych, obrzydliwych, lądowych krabów.

Och, jakie one wstrętne! Żaden Indjanin nie tknie tych nieczystych zwierząt, które groby splądrowują. Tylko murzyn je pożera. Chwyta je, pasie, wygotowuje z nich swoją obrzydliwą zupę. Albo je łapie, odrywa im nożyce i wysysa ich zawar-

tość. A na bezbronne zwierzęta rzucają się inni i pożerają je żywcem — ani odrobinka nieużytku z nich nie pozostaje.

Ta kobieta jest — o tem wiem doskonale — jak duży, ohydny krab. Miałżebym być już padliną, którą ona węszy, wygrzebuje i obiera aż do bieli kości? Wiem — wiem: musi mieć moje ciało, by sama żyć mogła. Ale poczekaj, potworze! Nie pozwolę się pożreć! Całkiem na odwrót ma się to dokonać — odłamię ci nożyce, jak to murzyn robi, i wyssę je — —

* * *

Str. 896. Pismo barona.

W Buenos Aires byłem raz w teatrze Royal. Siedzieliśmy na górze w loży, Walter Gelling, ja i dwie kokoty. Piliśmy szampana robiliśmy dużo hałasu i zamknęliśmy kratki. Zaledwie raz po raz rzuciliśmy okiem na scenę, od czasu od czasu krzyknął jeden z nas w dół jakieś niechlujne słowo — na tem polegał cały nasz dowcip. Występowała dama kauczukowa — ach! to była utrzymanka Whiteleya. Przepijaliśmy do niej, ryczeliśmy do niej, że życzymy jej na urodziny bliźniąt — a tłum w parterze wył porówno z nami. Gdy wystąpiło dziewczę, które się miało popisywać w Loo-ping-the-Loop, był Gelling tak pijany, że już nawet nie był w stanie wrzeszczeć. Odźwierni loży znieśli go na dół, kobiety odwiozły go do domu, pozostałem sam i piłem dalej.

Potem przyszło trzech drabów Yankesów na scenę, trzech głupich, brzydkich drągali z Bowery i zaczęli śpiewać, a raczej wyć idjotyczne piosnki. Publiczność sykała i krzyczała, wyzywała ich, by

się do stu djabłów wynieśli, ale oni znowu na scenę wrócili. Teraz już nie śpiewali, tańczyli i wystukiwali ciężkiemi obcasami taniec marynarzy. Coraz szybciej wirowały nogi, coraz silniej ubijały stopy piaszczystą podłogę. Wziąłem program do ręki, by poszukać ich nazwiska — byli to trzej Dicksoni.

Ale gdym znowu spojrzał na scenę, już trzech Dicksonów nie było. Tylko sześć nóg wyskakiwało na scenie, wyfikiwało w obłąkańczem tępie wściekły takt, biło się w pięty, grzechotało i szalało w dzikim wirze na deskach. Sześć nóg, sześć wysmukłych, czarnych nóg.

Kurtyna spadła, a publiczność oklaskiwała. A nic nie zauważyła i teraz jeszcze nic nie widziała, nic więcej, jak tylko sześć nóg, jedną po drugiej, jak się na scenie znowu ukazały i w ukłonach się gięły. Sześć czarnych nóg trzech czarnych Dicksonów.

— — Któż im skradł ich ciała? Ależ nie — tak się rzecz nie miała. Chciano mieć nogi, a nie ciała. Ciała nic nie były warte, brzydkie głowy, wąskie, piersi i ramiona jak u małp — nikt by tego nie zechciał. Ale te sześć nóg: jak cięciwy z stali, smukłe, wspaniałe, elastyczne nogi!

Mój hotel był położony przy ulicy 25-go Maja. Obok w rozwydrzonem kasynie teatru hałasowano jeszcze: wszedłem, trzy kobiety były na scenie — Trio-Graziella stało na afiszu.

Wszystkie trzy blondynki i nieskończenie nudne istoty, w aksamitnych sukniach z rozporami po bokach. Śpiewały jakąś piosenkę, a przy refrenie podnosiły suknie w górę. Spodnic nie miały, na nogach wysokie, czarne trykoty. Jędrne, smagłe, jak ze stali wycięte nogi — i doskonale widziałem, że te nogi przynależały do trzech Dicksonów.

Uczułem straszny lęk — wiedziałem, że mnie też ktoś chce coś ukraść. Ale nie tylko nogi — wszystko! — Trwało to jedną chwilkę, potem musiałem się roześmiać. Wpadło mi na myśl: cóż nastąpi, jeżeli Dicksoni są od kradzieży ubezpieczeni? Nie ulega wątpliwości, że te wywłoki dały im swoje stare, chude nogi cherlawych bab, a teraz paradują po świecie z ich wspaniałemi nogami. Ale jakżeż im Dicksonowie udowodnią kradzież — towarzystwo ubezpieczeń nie zechce napewno im pieniędzy wypłacić — musi dojść do procesu!

Poszedłem do hotelu i napisałem list do trzech Dicksonów — zaofiarowałem się im na świadka.

* * *

Str. 914. Pismo damy.

WIELKIE OGRODY

Nie mówię o tych z Cintry, ani o tych na Isachji, ani też z Este. Ani o tych ciemnych w Phislehurst, ani w Lacrome, ani w Szwerynie, ani też o czarownych ogrodach w Haiti, które stworzył jeden niemiecki poeta, gdy odgrywał rolę konsula w tej murzyńskiej krainie, Nie, nie, tych nie mam na myśli. A może wszystkie razem, ale żadnego z nich wyłącznie.

Każdy z nich po kolei — gdy padnie odpowiednie słowo, jeżeli nie jedno, co było, to pożera, co teraz jest, jeżeli przeszłości przyszłością się staną, jeżeli piękne kłamstwa zniszczą brudne prawdy.

Wtedy może!

Zmęczona jadę wśród wieczoru. Między polami i wzdłuż lasu — gdziekolwiekbądź. Potem mur, długi, szary mur i wysokie drzewa po obu stronach. A po za niemi, tak! Poza niemi rozściełają się wielkie ogrody.

Czasami mur się przerywa; na małą przerwę zakrywa brama ciche tajemnice. Wtedy podglądam. Dalekie drogi, szerokie, gładkie łąki, a nigdzie końca nie ujrzysz. Głębokie zarośla, w których śpią sny, ciemne stawy, których łabędzie w nocy nie rozśpiewają. A żadnego odgłosu, najdalszego, najcichszego odgłosu.

Jak teraz ujrzę bramę, wtedy zeskoczę z siodła i pocałuję nozdrza mojego siwka. Szpicrutą uderzę lekko o ciężkie, żelazne pręty — i teraz wiem, że się brama otworzy. Powoli, cicho, żadna zawiasa nie skrzypnie. Lekko rozwierają się potężne skrzydła — i obejmują mnie stęsknione ramiona wielkich ogrodów.

W dali, poprzez platany przechadza się piękna pani. Kiedy idzie, dzwonią jej kroki, jakby się wietrzne dzwonki rozegrały, kiedy oddycha, jaśnieje jej oddech gdyby srebrzysta mgła. Jeżeli się uśmiecha, zapominają słowiki o swym śpiewie, a jeżeli mówi, perły skraplają się z jej ust. „Chłopaku“, powiedziała do mnie, „mój kochany chłopaku“. A ja, małe dziewczę, jestem szczęśliwa, że mnie chłopakiem nazywa“,

„Kochany chłopcze“, mówi i całuje moje ręce. Nic niema słodszego i nic więcejby powiedzieć nie mogło, jak to, gdy ujmuje moje ręce i je całuje. Wszelki spokój spoczywa w oczach pięknej pani, i wszelaki słodki spokój będzie mnie całować — jak tylko ujrzę bramę —

A nigdy tej bramy znaleźć nie mogę. Tylko zrzadka przerywa się mur; tylko na mały skrawek odsłaniają kraty ciche tajemnice, wtedy pragnęłabym przez nie patrzeć. Głębokie zarośla, ciemne stawy — dalekie, dalekie drogi, a nigdzie końca nie ujrzysz. Potem znowu mur, długi, szary mur i wysokie drzewa po obydwóch stronach.

Zmęczona jadę poprzez wieczór. Pomiędzy polami, wzdłuż lasu — gdziekolwiekbądź

* * *

Str. 919. Pismo barona

Wiem doskonale, że to był tylko dowcip i serdeczniebym się nim ubawił, gdyby był się innemu przytrafił. Ale nie mogę zapomnąć o tej haniebnej obrazie, dziś jeszcze nie, ale po latach dziesięciu. A jeżeli kiedy spotkam hrabinę albo tego wesołka, który jej tę myśl poddał — schlastam im twarze szpicrutą.

Niech mnie djabli wezmą — ale hrabina Isabeau nie była doprawdy świętą! Miał ją Primavesi z dziesiątego pułku huzarów i ten polski skrzypek i pan von Staching. I jak najzupełniej wierzę, że miała stosunek ze swoim szoferem i, Bóg raczy wiedzieć, z kim jeszcze. A, że ja koperczaki do niej stroiłem — — cóż w tem dziwnego? Chciałem ją mieć, bo była piękną kobietą i ostatnią modą w Spa. I przyznaję się, że zadawałem sobie dużo trudu, by ją zdobyć, daleko więcej, aniżeli przy którejkolwiek innej kobiecie. Wreszcie na balu w Kasino dopiąłem celu. — Siedzieliśmy w głębokiej niszy, nacierałem na nią — i wiem, żem dobrze przemawiał. Stawała w ogniach, to znowu bladła w żarach moich płomiennych słów,

które jej do delikatnego ucha szeptałem i w jej mózg wpalałem. Nie podała mi nawet ręki, gdy wstała, ale powiedziała: „Przyjdź pan do mego zamku dziś w nocy o trzeciej godzinie. Ujrzy pan światło w mojem oknie, wtedy pan wejdź przez nie“. Zawinęła się i tańczyła kadryla z fińskim malarzem.

Przedostałem się przez parkan ogrodu i pobiegłem do zamku. Ujrzałem odrazu okno, poprzez zamknięte okiennice przedzierał się słaby błysk światła. Wziąłem drabinę, opartą o ścianę, wspiąłem się szybko w górę, zapukałem cicho do szyb. Ale nikt nie dawał znaku życia. Zapukałem raz jeszcze, potem otworzyłem ostrożnie okna, wepchnąłem okiennice na wewnątrz i wszedłem do pokoju.

Odrazu się zorjentowałem: to była lubieżna sypialnia hrabiny Isabeau. Tam na szeslongu leżała jej suknia, żółto-jedwabna suknia, którą miała dziś na balu — a ona sama — tam poza kotarą łóżka paliła się lampa. Tam więc było jej łóżko — i tam była ona.

Cichutko zawołałem ją po imieniu — żadnej odpowiedzi, tylko lekki szelest poruszanych kołder. Szybko się rozebrałem i rozsunąłem kotarę. Tam stało szerokie, niskie, paradne łoże hrabiny — próżne. Ale za to przy łóżku był przywiązany stary, chudy kozieł, który na mnie wytrzeszczał swe głupie ślepia, nagle się na tylnych nogach podniósł i zabeczał.

Nie wiem, jak zdołałem się ubrać. Drabiny nie było i musiałem zeskoczyć. Może mi się tak tylko wydawało, alem słyszał dokładnie, jak dwa głosy się śmiały, gdym przez okno przelatywał

Wyjechałem ze Spa już o świcie. Przypadek zdarzył, że w Hamburgu poznałem się z Amundsenem — przyłączyłem się do jego ekspedycji.

O, to nie był dowcip, to była ohydna, podła w swem tchórzostwie obraza, najhaniebniejszy afront, jaki mi ktośkolwiek w twarz splunął. Wtedy sobie jeszcze tego tak dokładnie nie uświadamiałem; czułem się upokorzony, urażony, zraniony w mej dumie, wystawiony na śmiech — to było wszystko. Ale dziś oglądam to w całkiem innem świetle. Gdyby była wzięła kozę, to byłby dowcip. Obrażający, ordynarny żart, ale w każdym razie wcale dobry żart. Temu zaprzeczyć się nie da. Wtedy byłaby mi tem dała do zrozumienia: „I ty, głupi, pyszałkowaty smarkaczu, chciałbyś zdobyć hrabinę Isabeau? Ją właśnie, która swoich kochanków wybiera według jej zachcianek? A idźże sobie do djabła, pociesz się ze starą kozą — ta jest dość dobra dla ciebie!“

Ale ona postawiła mi kozła — —

W tem tkwi zamiar — jaknajwyraźniej zgóry pomyślany zamiar! Nigdy jeszcze nie został żaden mężczyzna tak sromotnie upokorzony!

* *
*

Str. 940. Pismo barona.

Kochfisch, mój administrator, ma tasiemca. Od lat całych biedoli się z nim, męczy się i wpada chwilami w zły humor, ale pozatem raduje się z siebie i z życia. Lęka się najprostszej kuracji, która, co prawda, przez parę dni jest bardzo nieprzyjemną. Woli się już męczyć, więc już całe życie spędzi w towarzystwie swego pasorzyta.

Och, gdybym ja miał tak łatwo!

Ale tego pasorzyta, którego ja w sobie noszę, żadna siła na świecie ze mnie nie wypędzi!

Dawniej było to, jak na scenie. Biegałem na niej; byłem wesoły lub tragiczny — jak się właśnie ułożyło; grałem wcale nieźle swoją rolę. A nagle zapadłem się pod scenę, a na niej odgrywała dalej tę rolę — kobieta. Nawet ostatnie słowo „kwestji“ nie padło — mnie już nie było — ona się ukazywała. Com przez ten czas robił, gdym się zapadał, nie wiem — prawdopodobnie spałem długim i twardym snem. Dopóki nie ocknąłem się — wtedy znowu stałem na scenie, a kobieta zniknęła. Ale gdy rozważam: jakie były przejściowe momenty — to nic wymyślić nie mogę — jeden tylko taki moment utkwił mi w pamięci — —

Było to w Monterey, w stanie Coahile. Okrągła arena — amfiteatr — — szopa z desek, jak wszędzie. Krzyki, wrzaski, plucie na wszystkich ławkach. Szef policji w swej loży, gruby, tłusty, z mnóstwem pierścieni na palcach. Żołnierze indyjscy naokoło. Na stronie słonecznej: Meksykanie, Indjanie, Hiszpanie — między nimi kilku Mulatów i Chińczyków. Kolonja obcych w cieniu, w wyższych lożach Niemcy i Francuzi. Ani jednego Anglika, Anglicy nie odwiedzają walki byków. Za to najwięksi krzykacze: Yankesi, którzy się tu czują panami, urzędnicy kolejowi, dozorcy w kopalniach, mechanicy, inżynierowie — pijani i brutalni. Obok loży szefa policji, w środku cienistej strony, pensjonat madame Baker, na dziewięć uszminkowanych kobiet, z włosami na jasno-blond ufarbowanemi. Nie tknąłby ich żaden dorożkarz w Galveston i New-Orleans — tu dobijają się o nie Meksykanie, obsypują je brylantami

Godzina czwarta, przed godziną już miano rozpocząć. Meksykańczycy zachowują się spokojnie, pławią damy pani Baker w łaźni pożądliwych spojrzeń. Te się przeciągają, rozkoszują się temi wolnemi godzinami, w których ich cielska są tylko oczyma pożądane Ale Amerykanie się niecierpliwią i wykrzykują coraz głośniej:

„Niechże raz wreszcze te kobiety przyjdą! Te przeklęte baby!“

„Jeszcze nie ukończyły tualety!“ krzyczy jeden z nich. „Niech nago wylezą, te stare maciory!“ zawył chudy drągal. A strona w słońcu ryczy w zachwycie: „Nago! Niech nago wylezą!“

Cuadrilla wkracza na piasek areny. Na czele Consuelo da Llarios y Bobadilla, kobiecy „Fuentes“, cała w ognistej czerwieni, wargi grubą szminką pokryte, twarz oklajstrowana spotniałym, niebieskim pudrem. Ciasno w gorset wtłoczona, olbrzymie piersi aż pod brodę podsznurowane. Za nią cztery tłuste i dwie chude, wszystkie w obcisłych spodeńkach: to toreadoras; groteskowo wyglądają te zbyt krótkie lub zbyt długie nogi. I jeszcze trzy kobiety w męskich siodłach na odwiecznych, wynędzniałych szkapinach, z kijami w rękach — to picadoras.

Widzowie w zachwycie, rzęsiste oklaski. Tysiące bezwstydnych niechlujstw, wstrętne paskudztwa sypią się gradem na piasek. A tylko jedna z pensjonarek pani Baker wydęła wargi — niby to odrobina współczucia, drobna kropelka uczucia solidarności. Żeński *aguazil* w czarnym, aksamitnym płaszczyku przynosi klucze. Z dziesięciu tysięcy najohydniejsza w całem mieście. Rozlanem cielskiem rozwaliła się na podagrycznym mule, który drży i trzęsie się na nogach pod tym zgni-

łym ciężarem. Zaskrzypiały wrzeciądze wrót; młody byczek, a raczej cielak potyka się na arenie.

Ale zwierzątko to nie ma najmniejszej ochoty komuś krzywdy wyrządzić: głośno zaryknęło i chce się gwałtem zpowrotem ulotnić. Lęk je ogarnia i przyciska się potulnie do desek barjery, przez której dziury chłopaki indjańskie starają się w nim kijami wzniecić odwagę. Teraz kobiety przystępują do dzieła. Wywijają czerwonemi płaszczami przed jego oczyma, krzyczą, drażnią byczka — to nic nie pomaga. Obrócił się i przywarł silnie łbem do chwiejących się wrót. Consuelo, słynna „espada“, wzięła na odwagę, chwyta byka za ogon, tak, jak pewno swego doróżkarza za — wąsy chwytać przywykła.

A Meksykańczycy wyją: Tchórzliwa banda! Byk tchórzliwy i baby tchórzem podszyte!

A jakiś całkiem uchlany Yankes ryczy bezustannie: Krwi! Krwi!

Damy Picadoras wbijają koniom w brzuch ostrogi — ostrą, długą ostrogą wcinają głębokie dziury w nędzne ich cielska, ale chwiejące się na nogach szkapy ani nie myślą z miejsca się ruszyć. Inne kobiety walą, co sił starczy, kłoniami w zmurszałe nogi, ciągną konie za trenzle pod byka, którego znowu inne obrabiają długiemi, gwoździami nasadzonemi kijami, krzyczą na niego, by się obrócił i rzucił się na konie.

I istotnie się obraca. Obydwa zwierzęta stoją naprzeciw siebie: jedno ryczy, drugie rży pod razami nielitościwych kłonic. Ale nie śni im się, by się rzucić na siebie.

Banderilleras chwytają za strzały. Oblatują byczka, wbijają mu kije, osadzone hakami w kark,

w grzbiet, gdzie się tylko zdarzy. A zwierzę drżące w niewypowiedzianym lęku na wszystko zezwala.

„Na psa taki byk! Do djabła takie baby!“ Ryczą Meksykanie.

„Krwi! Krwi! wyje Yankes.

Wywłóczą konia na stronę; Consuelo da Llario y Bobadilla każe podać sobie krótką szpadę.

Kłania się, celuje i uderza — — w bok! Na ławach w słońcu wściekłość do nieopisania: Uderzenie powinno nastąpić między rogami, szpada musi przez kark dostać się do serca, tak, że byk odrazu na kolana się zwala. Teraz jeszcze raz uderza — w sam pysk. Krew ścieka na piasek biedne zwierzę ryczy i trzęsie się.

I z jednego potwornego gardła wydziera się wściekły krzyk oburzenia: wygląda to, jakby cały ten motłoch chciał się wedrzeć na arenę

Ale pijany Yankes przekrzykuje wszystkich swym zwierzęcym rykiem: „Tak dobrze! Tak! tak! Krwi: krwi!“

Szef policji wystrzelił w górę z rewolweru: znak, że chce do tłumu przemówić: „Bądźcie rozsądni!“ woła. „W tem przecież tkwi cały dowcip! Jedno drugiego warte: i byk i kobiety!“

I rozsłoneczniła się śmiechem strona w słońcu.

„Ah! ah! Jedno drugiego warte!“ A kobieta tymczasem wciąż jeszcze szpadą pracuje, wepchnęła ją w cielsko zwierzęcia już sześć, czy osiem razy. Przypadkowo natrafiła na kość, stal się ugięła i wyskoczyła z jej ręki. Kobieta w krzyk, a zwierzę trzęsie się i ryczy.

Ale tłum zrozumiał teraz cały dowcip — śmieje się, wije się ze śmiechu.

Jedna z tych tłusłych, opasłych „toreadoras“ przynosi świeżą szpadę — ale nie chce jej oddać

niefortunnej „espadzie“, sama chce próbować swej zręczności. Ale tamta na to się nie zgadza, wyrywa jej wśród wyzwisk szpadę, ta znowu chwyta ze ziemi całkiem wygiętą stal i obydwie rzucają się teraz na nieszczęsnego byka. I teraz nie może już dłużej wytrzymać ta chuda, jak kościotrup, która ma przy sobie okrągły puginał, a którym już przy końcu uderzeniem w mózg byka się dobija i przed czasem wyrywa z zanadrza wstrętną broń.

I wszystkie trzy doskakują do byka. Już wcale nie celują, tylko wbijają szpady w cielsko na oślep, Piana wystąpiła im na karminem pomalowane wargi, a ciemna krew obryzguje gorącym strumieniem i złociste galony, tresy i srebrzysty szamerunek. A bydlę stoi jeszcze, bez ruchu, zgłupiałe, z bolesnym rykiem i wypluwa ze setek dziur fontanny krwi. Ciągną je za ogon, chwytają za nogi, by je na ziemię powalić, wbijają mu stal w brzuch. A ta chuda wbija mu puginał, raz, drugi i trzeci w obydwa oczy...

Zwierzę już zdechło, ale rozwścieczone kobiety mordują je dalej. Klęczą, leżą na zdechłem cielsku, rozszarpują je w kawały. Consuelo da Llaros y Bobadilla rozwiera mu pysk i wpycha mu szpadę w gardło aż po rękojeść.

Meksykanie ochrypli w skurczach śmiechu — zdaje się, że popękają z tego bydlęcego śmiechu.

Co za niesłychany dowcip! Nigdy się jeszcze tak nie ubawili! A szef policji nie posiada się w pysze, że odegrał taką rolę wspaniałego dyplomaty, zaciera ręce na obwisłym brzuchu i bawi się ogromnemi brylantami w swojej koszuli. Kiwnął na muzykę. Ryk trąb — nowy cielak na arenie! I ujrzałem, jak madame Baker podniosła się z siedzenia. Przystąpiła do rampy sąsiedniej loży

i przegięła się przez dzielącą ścianę; z lekkim ukłonem przystąpił do niej szef policji. I w tej chwili uderzyła go pięścią w twarz.

Otyły mężczyzna zachwiał się wtył. Krew ściekała po olbrzymich wiechach wąsów. Wszyscy widzieli ten potężny policzek i wszyscy w tej chwili zamilkli. Było to, jakby kapelmistrz dał orkiestrze w środku najdzikszego tempa znak, by urwała. I w tej nagłej ciszy chlusnęła p. Baker szefowi policji w twarz: „O you son of a bitch!“

Kolonja obcych śmiała się w kułak w swoich łożach, aż nadto dobrze zrozumiała całe to groteskowe zajście: Ona, madame Baker, matka bordelu, bluznęła mu w twarz: „kurwy synu“ — jemu szefowi policji, zastępcy rządu stanowego, stróżowi porządku i moralności. Ale strona w słońcu przyszła teraz do słowa, tego wielkiego słowa, które tam poza wielką wodą, oznacza walkę, walkę na noże, które nie zna żadnego już cofnięcia się i żadnego pojednania. Ty, albo ja — tylko dla jednego jest miejsce!

Znak był dany, teraz musiał każdy do jakiejś partji przystąpić: rewolucja! Po jednej stronie szef policji, a z nim razem jego żołnierze, stu brzydkich Indjan, z nabitą bronią u nogi. Ale madame Baker nie lękała się. I ona była potęgą. Gubernator był jej przyjacielem, a na stronie cienistej nie było nikogo, któryby do jej pupilek nie był uczęszczał. Tłum milczał z zapartym oddechem, z oczyma wlepionemi w loże na górze, bezradny i niepewny. Wyczekiwano bezradnie, do jakiej partji się przyłączyć. Nienawidzono szefa policji i jego bandy, ale nie mniej i tej obcej. Szali u wagi zrównywały się — na którą rzuci swą krew!

Teraz przystąpiła madame Baker do rampy loży. Co się tu na górze stało, to uczyniła bez rozmysłu i całkiem pod naporem impulsu; teraz dopiero zrozumiała, co to właściwie znaczy: on, albo ona! Była ona wprawdzie starą nierządnicą i zajmuje się sprzedażą nierządnic — ale jest zarazem dziewczyną z Teksas i pogardza bezdennie tym żółtym mulatem, tą nadętą, nieokrzesaną małpą, którego brylanty ona zapłaciła podatkiem od jej smrodliwego rzemiosła.

„Ludzie", krzyczała, „ludzie z Monterey! Oszukują was! To była marna robota rzeźnicza, a nie walka byków. Kradną wam wasze pieniądze! Wygońcie te wywłoki z areny, każcie sobie zwrócić w kasie wasze srebro!"

W Cristal-Palace słyszałem kiedyś generała Booth'a; wiem, w jaki sposób ten wielki mąż umie tłum porwać. A przecież jego oddziaływanie było zabawką w porównaniu z tem, jakie mowa pani Baker wywołała podczas walki byków w Monterey w Coahile. Rozpętała paszczę motłochu, rozwiązała jego ozór, a z gardła jego wyrwała jeden przeolbrzymi wrzask:

„Oszukują nas! Okradli nas z naszych pieniędzy!" Zawyli, poprzeskakiwali ławki i rozrywali deski. To tu, to tam ubezwładniali żołnierzy i zabierali im ich broń: długie noże. Toreadoras, zbite w przerażeniu w trzepoczący się kłębek, rozbiły bramę i wybiegły z krzykiem z areny. Obcy pozrywali się z krzeseł lóż i cisnęli się ku wyjściom. Szef policji poszedł za ich przykładem, ale zaledwie uszedł dwa kroki, padł, ugodzony kulą w plecy.

Bunt się rozżagwił: gdzieś tam po stronie słonecznej, to znowu na przodzie, gdzie muzyka siedziała. To znowu tuż pod lożami i w oborach

byków. Na oślep strzelano z browningów w niewinnych widzów poprzez skłębiony piasek.

Wrzask, hałas, nawoływania — cała strona słoneczna hurmem przewaliła się przez arenę i jęła szturmować loże.

Rewolucja.

Madame Baker szarpała, wypychała swoje pupilki. Sama dźwigała małą Maud Biron, która obwisła zemdlała, gdyby wór na jej ramionach. Nie rzekła ani słowa, zstępywała w dół po schodach. Ludzie rozstępywali się przed nią, widziałem jednego, jak zdjął przed nią kapelusz. Zawołała na swego stangreta i sama mu pomagała przy ładowaniu towaru do mailcoach. Siadła potem na kozioł, mlasnęła językiem i trzasnęła długim biczem ponad czwórką koni.

Przypominam sobie: Chatenay wpadł do mej loży.

„Czyś oszalał?" zawołał. „Czy chcesz, żeby cię tu ubito?" Zaprowadził mnie do powozu. „Na dworzec!" zawołał na stangreta.

„Na dworzec? zapytałem. „A poco?"

„Jakżeż? Przecież przyrzekliśmy Ritterowi, że będziemy jutro u niego w San Pedro! O ósmej godzinie rano rozpoczynają się wyścigi, o godzinę prędzej będziemy na miejscu. Właśnie zdążymy na pociąg".

„Teraz tu stąd wyjeżdzać?" zawołałem. „Teraz, kiedy poczyna mnie to interesować?"

„Ach! głupstwo! odpowiedział Chatenay. To zbiegowisko możesz aż zbyt często oglądać. Co cię rewolucja obchodzi! Niech sami odprawiają te orgje małpiarstw!"

Pojechałem wbrew mej woli, ale byłem za słaby, by się sprzeciwić. I dobrze się tak stało:

Odnalazłem siebie samego, kiedym na drugi dzień rano siedział na angliku Rittera i doprowadził go przeciw gniadej klaczy piwowara do zwycięskiej mety. Bo już zszedłem ze sceny mojego życia, już zanikłem w zagłębieniu, już ustąpiłem miejsca kobiecie, która mi moje ciało kradnie.

Było to wtedy, kiedy madame Baker przystąpiła do rampy loży. Doskonale czułem, jak się wtedy rozpływałem, jak się we mnie wszystkie spójnie rozluźniały i nic nie pozostawało we mnie z mężczyzny, który się przed chwilą cynicznie śmiał z brutalnych scen, jakie się na arenie odgrywały. Trząsłem się, miałem niewypowiedziany lęk, chciałbym się w ziemię zapaść, by tylko odwrócić oczy od tej kobiety, która mnie w posiadanie brała. A kiedy pochwyciła małą Maud Biron na swoje ramiona, miałem tylko jedno żarliwe życzenie: o, gdybyś ty, małe, biedne dziewczę, mogło tak spoczywać na tych silnych ramionach, przy tych silnych piersiach tej ogromnej kobiety. Stałem się kobietą — kobietą — — Przypadek mnie wtedy przed tą hańbą uchronił, prosty przypadek i Clément Chatenay. Zrobił zakład o dwadzieścia tysięcy talarów na konie Rittera, i szczęśliw jestem, żem mu je zarobił.

* *
*

Str. 972. Pismo barona.

I jak tak myślę wstecz — to przecież ja byłem, który przeżywał moje życie, ja, baron Jezus Marja von Friedel, oficer konnicy i wieczny obieżyświat. Nikt inny. Czyż tylko w kró-

tkich epizodach wyłaniała się ta obca istota, która mnie wypędzała z mojego ciała i mózgu i mnie w posiadanie brała? — —

Nie, nie mnie, przecież mnie wyrzucała — ze mnie samego! To brzmi śmiesznie, a jednakowoż inaczej bym tego określić nie zdołał. Ale zawsze powracałem, i byłem znowu panem samego siebie.

Dziesięć — dwanaście razy wkraczała w moje życie, nie częściej. Zwykle na krótki czas, na dnie, czasami tylko na godziny: wprawdzie i parę razy na całe tygodnie — a potem — przez całe pięć miesięcy, gdym — oczywiście nie ja, tylko ona — był w służbie u hrabiny Melanji.

Jak było ze mną, gdym był dzieckiem, z tego sobie sprawy nie zdaję. Byłem tylko dzieckiem, nigdy chłopakiem, ale też nigdy dziewczęciem. Dopóki mnie mój stryj nie był odebrał z rąk ciotek. Ale to wiem z pewnością, że do tego czasu nigdy nic nie odczuwałem ani w jednym, ani w drugim kierunku. Byłem prawdziwem neutrum i nazywałem moją młodość, spędzoną na zamku Aibling, neutralnym okresem mojego życia.

Jest że to może ten walący się zamek ze swojemi zaspanemi lasami, który jakiśkolwiek wpływ na mnie wywiera? Wtedy nie byłem niczem z dwojga, ani mężczyzną, ani kobietą — spałem tylko. Potem atoli, przez całe dwadzieścia lat byłem mężczyzną, mężczyzną, który niekiedy ustępował miejsca kobiecie. Ale zawsze byłem jednem tylko: kobietą lub mężczyzną. Teraz jednakowoż, od czasu, jak do tego zamku powróciłem, zdaje

się, że wszystko się poprzesuwało: jestem mężczyną i kobietą prawie współcześnie. Siedzę tu teraz we wysokich butach jeźdźca, palę moją krótką fajkę, piszę mojem szerokiem pismem w tej książce. Wracam z rannej przejażdżki konnej, i ścigałem z mojemi chartami zające.

A gdy odwrócę dwie strony wstecz: wczoraj pisałem o tym samym czasie afektowaną ręką kobiecą, u nóg mych leżała lutnia, do której dźwięków śpiewałem jakąś piosenkę. Zdaje się, że w chwili, gdy się przedzierżgnę w kobietę, staję się muzykalnym, czytam pieśń, którą sam napisałem, muzykę do niej ułożyłem i sam ją śpiewałem: „Sny poprzez buki“.

„Sny poprzez buki!“ Możnaby wymiotować: Chryste Panie, jak ja nienawidzę tej śmiesznej, sentymentalnej flondry! Gdybym tylko mógł znaleźć środek, którymbym zdołał wypędzić ze siebie tego obrzydliwego tasiemca!

* * *

Str. 980. Pismo barona.

Wczoraj wieczorem zeszedłem wdół do wsi. Kochfisch był zatrudniony w leśniczówce, i prosił mnie, bym w przejeździe wstąpił do rzeźnika Bôllinga i porządnie zwymyślał go za to kiepskie mięso, jakie w ostatnim tygodniu do zamku dostarczał.

Pojechałem do rzeźnika, a już zmrok zapadał, gdym stanął na miejscu. Wołałem, ale nikt w drzwiach się nie ukazał. Jeszcze raz zawołałem, a wtedy ukazała się w oknie głowa świni. Wreszcie zeskoczyłem z konia, otworzyłem drzwi i wsze-

dłem do sklepu. Żywej duszy nie było, tylko ta ogromna świnia; odbiegła od okna, stanęła za ladą, podniosła się na tylnych nogach, a przednie położyła na marmurowej płycie. Roześmiałem się, a świnia zachrząkała. Potem, aby dokładniej widzieć, zapaliłem zapałką gaz.

Teraz widziałem dobrze — widziałem...

Świnia była przepasaną fartuchem, a za pasem tkwił szeroki nóż rzeźniczy. Przegięła się przez płytę i chrząkała — miałem wrażenie, że chce mnie się pytać, czego sobię życzę. Znowu się roześmiałem; podobał mi się dowcipny rzeźnik, który się kazał zastępować przez tresowaną świnię, Ale mimo to chciałem sprawę załatwić i zawołałem na rzeźnika: „Bölling! Bölling!“ Głos mój rozległ się w cichym domu, ale nikt nie odpowiadał — tylko świnia chrząkała potakująco. I nagle obeszła całkiem wyprostowana na tylnych nogach ladę i przeszła obok mnie. Obróciłem się: na silnych żelaznych hakach wisiało mięso — cztery połowy wypatroszonych ludzi. Jak połowy świń zwieszały się głową wdół, białe, bezkrwiste. I ja je poznałem — dwie połowy należały do Böllinga, grubego rzeźnika Böllinga drugie dwie do jego żony, tłustej rzeźniczki. Świnia wyciągnęła nóż, potarła go o skórzany fartuch i znowu zachrząkała — zrozumiałem teraz jej mowę! Czy chcę mieć od żeber, czy też od łopatki, czy też polędwicę? Wykrajała duży kawał mięsa, położyła na wadze, zawinęła mięso w gruby, biały papier i podała mi je. Wziąłem je do ręki, niezdolny wykrztusić ze siebie ani jednego słowa i pobiegłem szybko do drzwi. Świnia mnie grzecznie odprowadziła, kłaniając się głęboko, Już na przyszłość będę zadowolony — otrzymam tylko co naj-

lepsze mięso. I: sługa posłuszny — i: niech pan mnie znowu raczy zaszczycić — i...

Konia mego nie było — musiałem więc sam pieszo na zamek powrócić. W ręku trzymałem pakiet, a moje palce trzęsły się z obrzydzenia przy naciskaniu tej miękkiej, potwornej masy. Ohyda! Wyrzuciłem pakiet w las. Głęboka noc już zapadła, gdym dopadł do zamku. Poszedłem do mej sypialni i umyłem ręce. A potem rzuciłem się na łóżko.

A nagle, nie wiem, jak się to stało, stałem w drzwiach, prowadzących do kuchni. Ludzie przechodzili obok mnie, ale nikt mnie nie widział. Przyszedł Kochfisch, zawołałem na niego, ale on nic nie słyszał. Podszedł do ogniska i rozmawiał z panią, która przy niem stała. Widziałem filet, który się w brytwanie smażył. Słyszałem, jak wołała na kucharkę, by przyniosła do sosu śmietany... Ta dama tam — to byłem ja sam.

*

* *

Str. 982. Bezpośrednio przylegające pismo kobiece.

Pan się myli: ta dama tam — to byłam ja. Całkiem ta sama, która tu siedzi i pisze, z Panem nic, ale to zupełnie nic, nie mam do czynienia, jakkolwiek natura zabawiła się w ten głupi dowcip, by mnie razem z Panem w jednem ciele uwięzić. Nie mam najmniejszych pretensji do tego ciała wtedy, gdy ono do Pana należy — wzamian za to jestem jednak zniewoloną usilnie Pana prosić, byś

zechciał moje prawo uszanować, gdy ja w niem mieszkam.

Jeżeliby Pan znowu kiedykolwiek miał się wokoło mnie plątać, jak wczoraj w kuchni, przystawać w drzwiach i mnie podglądać, to zechciej Pan mieć na uwadze, że ja jestem, a Pana wtedy niema! Pan mnie widzi, wszyscy mnie widzą i każdy, kto mi rękę podaje, czuje mnie. Ale Pana nie widzę, ani ja, ani też nikt inny i nikt Pana nie czuje. Czem zatem Pan jesteś? Ani nawet cieniem mego zwierciadlanego odbicia!

Był Pan kiedyś, kiedy mnie nie było. A, gdy przychodziłam, wypierał mnie Pan, wyganiał mnie, wypalał płomieniami każde ostatnie wspomnienie mego pobytu. Tak, tak, Panie baronie, nie zadawał Pan sobie najmniejszego trudu, by się choć odrobinę rycersko zachowywać wobec tej damy, która bądź co bądź, tak, jak rzeczy się mają, powinna być Panu najbliższą. Ale teraz chyba już Pan sobie uświadomił: Pan tę grę przegrywa; i dlatego też ta cała Pańska ślepa nienawiść, która z każdego słowa, jakie Pan w tej książce pisze, jadem bucha.

Pańska książka — oczywiście — ale i m o j a książka: nasza wspólna książka. Gadaj-że sobie Pan dalej, żem się tu podstępnie wkradła, nie proszona, ślepym trafem, nie prosząc Pana o pozwolenie, tak, jak nie proszona w życie Pańskie wtargnęłam.

Ja mam prawo istnienia, a tem prawem, to to, że właśnie jestem, coraz więcej w to życie wrastam i z każdą godziną coraz głębiej się w nie wkorzeniam. Pan atoli, Panie

baronie, tracisz grunt pod nogami, schniesz i marniejesz — zmęczone, bezwładne, zwiędłe drzewo. A ja odziedziczę po Panu, dziś już, jeszcze za życia Pańskiego. Niech mi Pan wierzy, że niezadługo wyłącznie tu zapanuję i będę jedyną panią w zamku, w którym może będzie jeszcze Panu danem, jakiś czas pokutować.

Nie robi mi to zbytniej przyjemności rozpisywanie się w tej książce. Piszę jedynie dlatego — zwłaszcza dziś — aby Panu przywieść na pamięć, że ja tu jestem, a wtedy Pana tu niema. Spójrz-że Pan w moją stronę. Przecież Pan, biedny Panie baronie, widzi dokładnie, że tu siedzę i własną moją ręką to piszę —

* * *

Str. 983. Bezpośrednio potem — pismo barona: litery niezwykle duże i ostre, pisane grubym ołówkiem.

Ja tu jestem. Ja — ja! Ja tu siedzę! Ja piszę! Ja jestem panem zamku! Ja przywołam lekarza, dwóch, trzech, cały tuzin lekarzy, pierwsze powagi Europy. Jestem chory, to wszystko, a ty, ty, piekielna nierządnico, jesteś niczem więcej, jak tylko moją idjotyczną chorobą! Ale oni już cię ze mnie wypędzą, ty mój robaczku — poczekaj tylko!

— — Chwała Bogu! Napisałem trzy telegramy, dwa do Berlina, jeden do Wiednia. Kochfisch musi je w tej chwili na pocztę zawieść. Przecież jeden z tych panów znajdzie czas i dla mnie i dla moich pieniędzy.

* * *

Str. 984. Pismo kobiece.

Tylko tak dalej, Panie baronie! Wysilaj się, co możesz. Wywijaj twoją dziecinną szabelką, ja te ciosy śpiewająco odbiję — wierz mi Pan ną słowo.

Przecież miałeś Pan dzisiaj najlepszy dowód.

Kochfisch zameldował tajnego nadradcę medycznego, pana profesora doktora Macka. Och! Jak mi to zaimponowało!! Pozwoliłam mu dwie godziny wyczekiwać, a wreszcie raczyłam się ukazać. Ja, rzekoma choroba. mój kochany Panie baronie, dla której Pan jego rady chciał zasięgnąć!

Był trochę zdumiony — prawda? „Myślałem“ — bełkotał.

Ja zato byłam bardzo uprzejma. Pan przybył tu w przekonaniu, że ma Pan z mężczyzną do czynienia, nieprawda, Panie profesorze? Ale Jezus Marja może być również dobrze imieniem męskiem, jak i żeńskiem — a dziś ma Pan kobietę przed sobą. To właśnie —“

Pan tajny radca rozwiódł się bardzo długo i szeroko na temat „Venus-Urania“; nie wypowiedział ani jednego zdania, któregom już nie znała. Bo Pan, Panie baronie, zajmowałeś się głęboko temi pytaniami, a ja odziedziczyłam po Panu Pańską pamięć, jak i wszystko inne Oczywiście, że panu profesorowi wydarzyło się śmieszne qui pro quo — widział we mnie Pana i był przekonany, że ma do czynienia z osobnikiem, który za mężczyznami się wścieka i rozbija się w kobiecem przebraniu; pozostawiłam mu tę iluzję; wiem przecie dobrze, jak to Pana zrani — to tylko delikatna

moja odpowiedź na te wszystkie głupoty, które Pan w tej książce na mnie wypisuje.

Miej się Pan na baczności!

Chcesz Pan koniecznie ze mną walkę rozpocząć? Jestem gotowa!

* * *

Str. 996. Pismo barona.

Czy istotnie jeszcze istnieję? Czyż ta kobieta łaskawie jeszcze nato zezwolić zechce, bym tu jeszcze jakiś czas na ziemi przebywał?

Nie lękam się śmierci i nigdy się jej nie lękałem. Czyż już setki razy nie umierałem i zawsze i wciąż do życia się powoływałem? Ale, czyż ja wiem — czy żyjąc teraz jeszcze, nie żyję po raz ostatni?

Inni ludzie umierają — a z nimi razem ginie wszystko. Płuca już nie oddychają, serce bić przestaje, krew krzepnie. Mięso, muszkuły, paznogcie, kości — to wszystko prędzej czy później zanika. Ale moje ciało żyje dalej, moja krew krąży w żyłach, moje serce bije — — tylko mnie już nie będzie. Czyż nie mam prawa umrzeć? Umrzeć, jak wszyscy inni ludzie?

Dlaczegoż muszę ja, ja właśnie, stać się ofiarą takiego potwornie obłąkanego oszustwa? Przecież nie dzieją się już cuda, i — —

* * *

— Ta sama stronnica, ale już kobiecem pismem w dalszym ciągu:

Mylisz się Pan, Panie baronie, dzieją się cuda i Pan o tem doskonale wiesz. Przypo—

minam sobie przecież, że Pan sam przeżył jeden cud, kiedyś Pan był oficerem w Karyntji. Jechał Pan poprzez pola i ujrzał Pan nagle między chatą wieśniaczą a stodołą piękne, duże drzewo śliwkowe. Pan lubi śliwki i rzekł Pan do siebie: „Och, gdyby były dojrzałe!“ Obmacywał je Pan, ale nie znalazł ani jednej dojrzałej, wszystkie były twarde i zielone — najrychlej mogłyby dojrzeć za miesiąc! Ale gdy Pan na drugi dzień tą samą drogą przejeżdżał, ś l i w k i j u ż d o j r z a ł y.

Czyż to nie cud?

Pan miał naturalnie doskonałe wytłumaczenie pod ręką. Chata się spaliła, jak również stodoła po drugiej stronie; płomienie nie tknęły drzewa, ale, w ich piekielnym żarze śliwki dojrzały — — przez jedną noc. Tak może było, ale czyż cud nie poprzestanie być cudem, choćby go sobie nawet wytłumaczyć można?

I gdyby mnie — albo też Pana — miała jutro rano wziąć chęć, by zbadać, jak się to wszystko stało, jakim sposobem, dlaczego i czemu z Pana ja się wyłoniłam, a raczej Pan się we mnie przetworzył, to powiedz Pan tylko, czy to zmieni postać rzeczy, czyż ta metamorfoza nie pozostanie mimo wszystko — cudem?

* * *

Str. 1002. Pismo barona.

Do — — —

Do — do — do tej Pani!

Wdziera się Pani — — Jest Pani — — Nie, pragnę być grzecznym. A więc — — a więc — no więc — Bierze Pani wszystko,

czem jestem i co posiadam. Pani wie dobrze, jak nad tem cierpię. Przygląda się Pani, jak powoli obłęd mój mózg spowija, zanim jeszcze — — ja — — idę! Niema kącika, do którego mógłbym uciec i przed Panią się skryć. Ja proszę — niech mnie Bóg potępi — ja proszę — słyszy Pani? — ja proszę Panią, byś mi cokolwiek pozostawiła, w co wniknąć nie zechcesz. Pani powinna przecież czuć odrobinę wdzięczności dla tej istoty, której Pani — no! — wszystko zawdzięczasz. Pozostaw mi Pani — przecież, to taka drobnostka — tę książkę. Nic już Pani do niej nie wpisuj. Pozwól Pani, że tu przynajmniej — sobą pozostanę.

Baron Jezus Marja von Friedel.

*
* *

Str. 1003. Pismo kobiece.

Mój łaskawco!

Wprawdzie nie mam Panu nic do zawdzięczenia, bo jestem tu mimo Jego woli i nie przez Pana. A więc nie z wdzięczności, ale z prostej litości nad moim — wybacz Pan — wyrodnym ojcem, przyrzekam Panu, że mu odtąd tę książkę całkiem do Jego dyspozycji pozostawiam. Ale proszę zrozumieć, że tylko tak długo przyrzeczenie moje mnie zobowiązuje, dopóki Pańskie zachowanie się nie da mi powodu, by się od niego uchylić i znowu bez ogródki Panu moje zdanie wypowiedzieć.

Z prawdziwym szacunkiem
oddana
Baronowa Jezus Marja von Friedel.

*
* *

Str. 1008. Pismo barona.

Zwiedziłem wszystkie pokoje zamku. Moje znałem już przecież, ale nie znałem tych, które ona zamieszkiwała. A więc to nie ulega wątpliwości. że ma jakąś nademną przewagę, bo doskonale pamięta wszystko, co się stało, kiedy była — mną, ja jednakoż nic, albo bardzo mało pamiętam z tego, gdy ja byłem — nią.

A więc byłem w jej pokojach. Położone są w skrzydle, które do lasu przytyka trzy: pokoje, salon, sypialnia i mały pokój do ubierania. W sypialni otworzyłem szafy i komody — wszystkie zapchane damskiemi sukniami i damską bielizną.Nagle otworzyły się drzwi, ukazała się młoda pokojówka, której nigdy przedtem nie widziałem.

„Całuję rączki, pani baronowo", rzekła, „czy mogę być pomocną przy przebieraniu?" Skinąłem, by się oddaliła.

Mam więc garderobianę, kiedy się staję — nią! A służba moja nazywa mnie „panią baronową", gdy te pokoje zamieszkuję!

Otworzyłem jej biurko. Jak najwidoczniej, kocha bardzo porządek, powiązane w paczki leżały w największym porządku wszelkiego rodzaju kwity. Na tece do pisania leżał notes z rozmaitemi zapiskami: „zamówić mydło pinjowe! kazać przysłać Crême Simon! — Eau d'Alsace!" Pod tem stało parę słów: „Na wszelki przypadek zamówić czarny kostjum, gdyby wreszcie — —"

Gdyby wreszcie —?! No, oczywiście: gdybym wreszcie miał całkiem zaginąć! Wtedy ubierze się w żałobną suknię! Och, jaka ona wzruszająca, jak do mnie przywiązana — ta... ta —

Wybiegłem z jej pokojów. Miałem wciąż to uczucie, jakoby już następna sekunda miała mnie znowu przemienić. Zatrzasnąłem drzwi za sobą i głęboko odetchnąłem — jakbym już był bezpieczniejszy przed nią!!

Poszedłem na górę do pokoju ciotki Krystyny. Była ona najstarszą z moich trzech ciotek, a wszystkie najdłużej przeżyła. Wszedłem do jej pokoju, do którego nigdy jeszcze nie zaglądnąłem, odkąd wróciłem do zamku Aibling. Okiennice były zamknięte i tylko z trudem przedzierało się przez szpary światło dzienne. Wszędzie leżały grube warstwy pyłu, a mdły zapach lawendy unosił się z szydełkowanych fatałaszków, jakiemi były pokryte sofy i fotele.

Ale na stole stał pod olbrzymim szklanym kloszem duży, wypchany mops.

Był to Tutti, poznałem go natychmiast, mimo, że był niezdarnie wypchany. Tuttuchna, ulubieniec moich ciotek, to tłuste, obrzydliwe zwierzę, którego nienawidziłem, który mi moje lata dziecięce zatruwał. Zawsze na mnie szczekał i obrzucał mnie wściekłem spojrzeniem — nie odważałem się wejść do pokoju, w którym jego obecność przeczuwałem. Lęk, lęk miałem przed nim.

I teraz jemu samemu przynależy ten pokój, wypchanemu Tutuchnie w szklanym kloszu. Patrzył na mnie swojemi dużemi, żółtemi oczyma ze szkła i tą samą idjotyczną, trującą nienawiścią dawnych czasów. Nigdy go nie tknąłem, tego grubego mopsa — ale jego szklane oczy mówiły wyraźnie: „Ja ci nigdy nie przebaczę“.

Uczułem lęk, znowu uczułem lęk. Lęk przed tym grubym, marnie wypchanym Tutti, w jego

kloszu szklanym, który wciąż mnie jeszcze nienawidził, wciąż jeszcze —

Nie mogłem znieść tego wzroku, odwróciłem się do okna —

Tu nagle ujrzałem — ją przy oknie, rozwarła szeroko skrzydła okien, rozepchnęła okiennice. „Fanny!" wołała w podwórze. „Fanny! Chodź tu natychmiast na górę i zrób tu wreszcie gruntowny porządek. Okropność, jak tu wszystko zapylone!"

Znikła, a ja wciąż jeszcze stałem przy stole. Ale okno było otwarte, A krótko potem weszła Fanny do pokoju z miotłą. Szybko zbiegłem na dół.

* * *

Str. 1012. Pismo barona.

Siedzę przy biurku. Przedemną leży gazeta, mamy dziś 16 września. Ale mój kalendarz ścienny wykazuje 5 sierpnia. A więc tak długo — przez całe sześć tygodni — nie było mnie! A więc jestem tylko w odwiedzinach tu na tym świecie — na tym zamku, który do niej należy.

Ale ja się stąd nie ruszę, nie pójdę. nie chcę iść, nie chcę po dobroci jej tu miejsca ustąpić. Bo w ten sposób jestem na wszelki wypadek zgubiony, tylko we walce mam pewne dane — a więc!

* * *

Ta sama stronica. Pismo barona.

Byłem w jej pokojach. Kazałem wszystkie suknie i całą bieliznę powyrzucać. Koch-

fisch musiał ustawić na podwórzu ogromny stół. Przeszukałem wszystkie jej szuflady i skrytki, wszystko powyciągałem, co do niej należało. I wszystko kazałem rzucić na stos, który sam podpaliłem.

Kochfisch stał obok, a łzy ciurkiem leciały mu po twarzy, niewiem, czy to wskutek gryzącego dymu. Ale wiedziałem, że coś mu na sercu ciąży, zapytałem go. „Tak dobrze, panie baronie!“ powiedział. Tak dobrze! Nie wiedziało się już, co otem wszystkiem myśleć i jak się w tem połapać!“ Wyciągnął ku mnie rękę, uścisnąłem ją — było to, jakby nieme przyrzeczenie.

O nieba! Gdybym mógł je tylko dotrzymać!

Garderobianę odprawiłem, kazałem jej przez Kochfischa wypłacić zasługi za całe pół roku naprzód i kazałem jej natychmiast wyjechać.

Jutro wyruszę w podróż. Mam już dosyć tego przeklętego, miłego powietrza tutaj — nie służy mi.

*
* *

Str. 1013. Pismo kobiece.

A jednak Pan nie wyjedzie, Panie baronie! Za to ja wyjeżdżam, jakkolwiek w Pańskiem męskiem przebraniu. Pojadę do Wiednia, kupię sobie nową wyprawę. Garderobiana jedzie ze mną. Miej się Pan na baczności — teraz nie pozwolę ze sobą żartować!

*
* *

Str 1014. Pismo barona.

Obudziłem się w mojem łóżku. Zadzwoniłem i przyszedł Kochfisch. Nic nie powiedział, ale z jego twarzy wyczytałem radosne zdumienie, że znowu tu jestem. A równocześnie i bezwolną rezygnację: ach, niezadługo, a znowu się wszystko na nice wywróci.

Zjadłem śniadanie. Przeszedłem się po pokojach. Wszystko uległo zmianie. Wszystko świeżo wyczyszczone, uporządkowane, meble poprzestawiane, obrazy inaczej rozwieszone. Koni moich już niema — wszystkie sprzedane. Za to stały przy lśniących żłobach trzy klacze hiszpańskie — piękne zwierzęta, pod damskie siodło, z długiemi, pysznemi ogonami.

Zostałem zatem ostatecznie wyrzucony poza nawias. Wszystko mi kradnie. Tylko dwa pokoje mi pozostawiła, moją sypialnię i bibljotekę, w której pracuję. Czytam, co napisała na ostatniej stronicy: „Miej się Pan na baczności. Teraz nie pozwolę ze sobą żartować."

Widzę, widzę. Doskonała wskazówka, postaram się do niej zastosować. Moje browningi mam w kieszeni. Dwa razy już ją widziałem — raz przy ognisku w kuchni — drugi raz w pokoju mej ciotki Krystyny. Pewno ujrzę ją i trzeci raz — a już z pewnością po raz ostatni.

*
* *

Ta sama strona. Bezpośrednio potem pismem kobiecem:

A więc tak sprawa stoi, łaskawco? Masz Pan browningi w kieszeni? Myli się Pan, położyłam je na Pańskiem biurku, niech sobie tam spoczywają! A zresztą, jeżeli Panu przyjemność sprawi, o tem się dowiedzieć, to i ja posiadam parę pięknych, małych rewolwerów — o połowę mniejsze od Pańskich, ale zapewne te same usługi oddać mogą, co Pańskie. Nie mam najmniejszej obawy, Panie baronie, który drżysz ze strachu przed wypchanym mopsem ciotki! Pu! Pu! zdechły mops wywyskakuje ze szklannego klosza! Kryj się Pan pod łóżko, Panie baronie!

* * *

Str. 1015. W poprzek przez całą stronicę — pismo barona.

Ty ladacznico! Ty nędzna, marna ladacznico!

* * *

Str. 1016. Pismo kobiece.

Ty idjoto, ty błaźnie, ty głupi, żółtodzióby błaźnie!

* * *

Na tem urywają się zapiski w dużej, czarnej księdze. Wieczorem czwartego października posłyszał Kochfisch wystrzał w łazience. Wbiegł — na otomanie leżało okryte tylko prześcieradłem kąpielowem — nagie ciało, martwe ciało.

O jakiemś samobójstwie niema tu z pewnością ani mowy. Rzecz się ma wręcz przeciwnie: baron Jezus Marja von Friedel zabił baronową Jezus

Marję von Friedel, albo też na odwrót ona zabiła barona — tego już nie wiem.

Zabić bez wątpienia chciano — tak ona, jak on — ale nie siebie samego, tylko to drugie.

I zabito.

KONIEC.